

Współczesny dokumentalista - wspomnienia o Zbigniewie Dutce



Fot. Bogdan Skrzekut

**Złoty Jubileusz Koronacji
Piety Limanowskiej - rozmowa
z ks. proboszczem Wiesławem Piotrowskim**

**Budowa kościoła w Sowlinach
- wspomnienia ks. prał. Jana Bukowca cz. 3**

**Zasłużony obywatel Limanowej
- Leon Hermenegildus Żuławski**

Wspomnienia o Stanisławie Dyczku

**Rozmowa
z ks. bp. Andrzejem Jeżem
ordynariuszem tarnowskim**

**Stanisław Kulig, limanowski ogrodnik
i obserwator meteorologiczny**

**Ucieczki z obozu zagłady
KL Auschwitz-Harmęże**

Kanadyjczyk i Szkot spod Mogielicy

50-LECIE KORONACJI CUDOWNEJ FIGURY MATKI BOSKIEJ BOLESNEJ 1966-2016

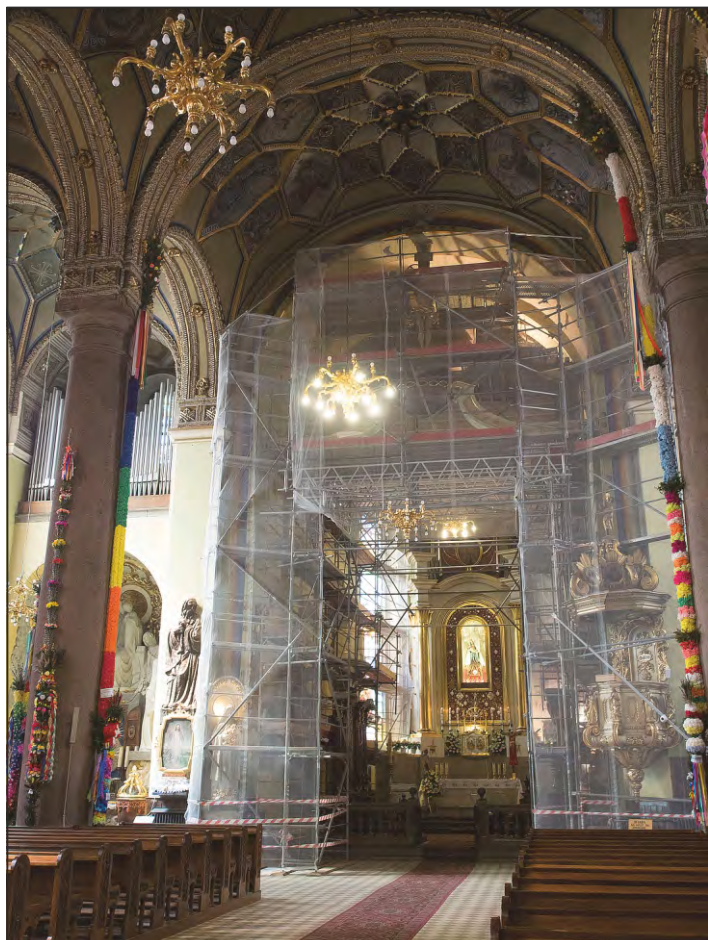


50
LECIE

LIMANOWA



Tytułowa strona „składanki” archiwalnych fotografii z koronacji limanowskiej Piety, w której została zamieszczona historia kultu Figury Matki Boskiej



Prace przy renowacji polichromii w prezbiterium limanowskiego kościoła.

Fot.

Złoty Jubileusz Koronacji Piety Limanowskiej

– rozmowa z Księdzem Proboszczem dr. Wiesławem Piotrowskim

Mijają trzy lata (czerwiec 2013 r.) od rozpoczęcia prac remontowo-konserwatorskich w limanowskiej Bazylice, o przebiegu których informowaliśmy na bieżąco mieszkańców naszego miasta w kolejnych wydaniach „Echa Limanowskiego”. W tym czasie przeprowadziliśmy trzy rozmowy z Księdzem dr. Wiesławem Piotrowskim – Proboszczem parafii pw. Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Z udzielonych wywiadów można było dowiedzieć się o stanie zaawansowania prac podjętych w zakresie odnowienia limanowskiej świątyni. W jednym z tych wywiadów Ksiądz Proboszcz powiedział: *We wrześniu 2016 roku będziemy przeżywali 50. rocznicę koronacji Figury Matki Boskiej, czczonej w naszym Sanktuarium. Data ta w pewien sposób mobilizuje nas, abyśmy na ten czas mogli odnowić naszą świątynię. Prace renowacyjne będą przebiegać równoległe z duchowym przygotowaniem się do przeżywania tej uroczystości.*

Od roku na łamach naszego dwumiesięcznika można odnaleźć cykl artykułów wspomnieniowych, odnoszących się do koronacji limanowskiej Piety w 1966 roku. Pierwszymi artykułami z tego cyklu były wspomnienia świadka wydarzeń, Księdza Prałata Jana Bukowca, dziś emerytowanego proboszcza parafii pw. Świętego Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach. W kolejnych wydaniach „Echa” kontynuowaliśmy ten temat. Do tej pory ukazało się pięć artykułów. Przyszedł czas by odpowiedzieć na pytanie, jak w „przeddzień” jubileuszowych wydarzeń, które przeżywać będziemy we wrześniu, wyglądają przygotowania parafii do tych uroczystości.

W jednym z wywiadów powiedział Ksiądz, że został opracowany program konserwatorski prac remontowych, malowideł i płaskorzeźb kościoła, a także wszystkich elementów drewnianych. W ostatnich tygodniach widzimy rusztowania w prezbiterium limanowskiego kościoła. Proszę powiedzieć, jaki zakres prac konserwatorskich jest wykonywany.

Jubileusz 50-lecia koronacji Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej wymaga przede wszystkim duchowego przygotowania się do tego wydarzenia. Wyrazem tego przygotowania jest także troska o zewnętrzny wygląd Sanktuarium, a w sposób szczególny ołtarza, w którym umieszczona jest czczona w naszym Sanktuarium Figura Pani Limanowskiej. W ostatnich latach podjęte zostały prace przy odnowieniu dachów na Domu Pielgrzyma i Domu Katechetycznym, a także drobne remonty w tych obiektach. Największym przedsięwzięciem była renowacja wieży, dachu oraz elewacji Bazyliki. Odnowione zostały także witraże w Bazylice, przy których zamontowano dodatkowe szyby zewnętrzne. W kościele odrestaurowano już ławki oraz stalle z prezbiterium. Przed obchodami Jubileuszu chcemy odnowić całe prezbiterium wraz z ołtarzem głównym i belką tęczową, na której umieszczony jest krzyż i postacie Aniołów. Prace przy tej belce są już



Oryginalny plakat z 1966 roku informujący o programie uroczystości. Fot. z arch. rodziny Pilawskich.

praktycznie na ukończeniu. Oprócz jej renowacji, dodatkowo musiało zostać wzmocnione umocowanie krzyża. Obecnie trwają prace przy renowacji polichromii. Również one wymagają dodatkowych nakładów, gdyż musiały zostać zdjęte przemalowania, które nie odzwierciedlały w pełni malowideł wykonanych przez Adama Miksza. Usunięto także uzupełnienia gipsowe, których stan był bardzo zły. Na ich miejscu wykonano tynki i niebawem zostaną odtworzone pierwotne malowidła. Renowacji poddano elementy kamienne prezbiterium, a także łoża kolatorskie. W najbliższym czasie zostanie odnowiony ołtarz główny i wymieniony mechanizm do zasuwania Cudownej Figury. Na końcu zostaną oczyszczone ściany i będzie na nie nałożona nowa warstwa malarska.

Jakie jeszcze prace konserwatorskie zostaną przeprowadzone do czasu uroczystości jubileuszowych? Czy Figura Matki Boskiej Bolesnej będzie poddana renowacji?

Obecnie został poddany renowacji konfesjonał, który stał w bocznej nawie przed ołtarzem Świętego Józefa. W najbliższym

► czasie odnowiony zostanie kolejny konfesjonał. Planowana jest także renowacja kaplicy pw. Matki Bożej Częstochowskiej przy ul. Kościuszki. Do Małopolskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków został złożony wniosek wraz z projektem prac o wydanie zezwolenia na renowację i zmianę pokrycia kopuł kaplic pw. Najświętszego Sakramentu i Świętego Antoniego. Prace te były planowane przy remoncie dachu Bazyliki, gdyż azbestowe pokrycie było zniszczone i zagrażało przeciekaniem wody do wnętrza. Niestety wówczas nie otrzymaliśmy zgody na przeprowadzenie tych prac, lecz jedynie na pomalowanie specjalną farbą azbestowych łusek w celu ujednolicenia kolorystyki pokryć dachowych. Ponieważ nastąpiło ich dalsze zniszczenie, poprosiłem o dodatkową ekspertyzę, w wyniku której konserwator nie miał już wątpliwości, iż prace te należy niezwłocznie podjąć.

Limanowska Pieta została wykonana z drewna lipowego i pochodzi z końca XIV w. Ostatnia jej renowacja była wykonana przed koronacją w 1966 r. Obecny stan Figury niestety wymaga ponownej renowacji. Dlatego opracowano program konserwatorski, wykonano specjalistyczne zdjęcia i pobrano próbki do badań. W najbliższym czasie Pieta również zostanie odnowiona, zgodnie z zaleceniami konserwatorskimi.

W swojej wypowiedzi stwierdził Ksiądz, że z pracami renowacyjnymi będą równolegle przebiegać duchowe przygotowania do przeżywania uroczystości jubileuszowej. Na czym one polegają?

Od kilku lat przygotowujemy się do Jubileuszu 50-lecia koronacji limanowskiej Piety. Tuż po wyborach do nowej Parafialnej Rady Duszpasterskiej w 2012 r. zostało zorganizowane spotkanie, podczas którego omówiono przygotowania do tej uroczystości. Wszystkie grupy, ruchy i stowarzyszenia działające przy naszej parafii zostały poproszone o modlitwę w intencji owocnego przeżycia Jubileuszu. Przy różnych okazjach, m.in. podczas homilii, zwracaliśmy się do wiernych w parafii o podjęcie duchowych postanowień, a także o modlitwę, by nie tylko dobrze przygotować się do tego wydarzenia, ale również ofiarować Matce Bożej coś konkretnego, co przyniesie duchowe owoce w życiu osobistym czy rodzinnym. W grudniu 2015 roku w naszej parafii odbywały się rekolekcje ewangelizacyjne, a w marcu br. misje parafialne, których celem było poznanie perykop ewangelicznych odnoszących się do Matki Bożej i pogłębienie miłości do Maryi. Podobne cele przyświecają comiesięcznym spotkaniom w grupach formacyjnych np. Kręgu Biblijnego, Akcji Katolickiej czy Arcybractwa Najświętszego Serca Pana Jezusa. O dobre przygotowanie się do wrześniowych uroczystości modlimy się m.in. podczas nabożeństw fatimskich, na których gromadzą się nie tylko wierni z naszej parafii, ale także pielgrzymi z okolicznych miejscowości.

Każdy jubileusz to wielkie wydarzenie dla określonej grupy społecznej – w tym przypadku czcicieli Matki Bożej Bolesnej. Istotną sprawą zapewne jest udokumentowanie zarówno samego wydarzenia jubileuszowego jak i powrót do historii. Jakie w tym zakresie zostały i zostaną wydane okolicznościowe pamiatki i publikacje?

50. rocznica koronacji Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej jest dla naszego Sanktuarium wydarzeniem doniosłym i godnym stosownej dokumentacji, przypominającej zarówno koronację, jak i tę rocznicę.

KORONACJA CUDOWNEJ FIGURY MATKI BOSKIEJ BOLESNEJ W LIMANOWEJ



Przygotowanie
i przebieg uroczystości koronacyjnej

Tytułowa strona okolicznościowej publikacji.

W wydawanym kwartalniku „Mater Dolorosa” publikowaliśmy teksty odnoszące się bezpośrednio lub pośrednio do tego wydarzenia. W ostatnim numerze została przybliżona m.in. sylwetka Księdza Prałata Ludwika Kowalskiego, który jako ówczesny proboszcz przygotowywał koronację i składał przysięgę podczas głównych uroczystości koronacyjnych 11 września 1966 r. Zdjęcia z koronacji zostały umieszczone w kalendarzu parafialnym na 2016 r., a także w „składance”, gdzie zamieszczono też historię kultu Figury Matki Boskiej Bolesnej. Z okazji 50-lecia koronacji wydano okolicznościowe obrazki, pocztówki i zakładki książkowe. W tym roku została opublikowana też książka: „Koronacja Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej – Przygotowanie i przebieg uroczystości koronacyjnej”. Zawiera ona dokumenty wydawane w związku z koronacją, opis wydarzeń z kroniki parafialnej, opracowany przez Księdza Kowalskiego, a także opis przygotowań do uroczystości i ich przebieg, sporządzony przez Księdza Piotra Longina Bednarczyka, późniejszego Biskupa Pomocniczego Diecezji Tarnowskiej, który znacznie przyczynił się do koronacji limanowskiej Piety. Zamieszczony jest w niej również tekst homilii Koronatora Piety, ówczesnego Metropolity Krakowskiego, Arcybiskupa Karola Wojtyły. Całość ubogacona jest licznymi, kolorowymi zdjęciami z uroczystości koronacyjnej. Drugą pozycją książkową wydaną z tej okazji jest opracowany przez Księdza Stanisława Wojcieszaka zbiór „czytanek majowych”, opisujących historię kultu Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej oraz przebieg uroczystości koronacyjnych. Ksiądz Wojcieszak przygotowuje do publikacji

książkę, będącą obszerniejszym opracowaniem wydanej już na maj pozycji. Niebawem dostępny będzie modlitewnik: „Matka Boska Bolesna, Pani Limanowska”, zawierający m.in. nabożeństwa, litanie, modlitwy i pieśni ku czci Matki Bożej. Wkrótce też ukaże się ilustrowany album przedstawiający życie Sanktuarium i obrazujący kult Matki Bożej. Z okazji Złotego Jubileuszu koronacji został ogłoszony konkurs plastyczno-literacko-muzyczny pn. „Matka Boska Limanowska w moim życiu” dla uczniów szkół podstawowych, gimnazjów, szkół ponadgimnazjalnych z Limanowej i Starej Wsi Woli oraz dorosłych mieszkańców parafii pw. Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej. Wybite zostaną okolicznościowe medale, przygotowana będzie wystawa, odbędzie się sympozjum mariologiczne oraz zostanie wystawione oratorium ku czci Matki Boskiej Bolesnej, Pani Limanowskiej. Chór Canticum Iubilaeum przygotowuje nagranie płyty ku czci Matki Boskiej Limanowskiej. Nagrane zostaną utwory muzyczne na odsłonięcie i zasłonięcie Cudownej Figury. Wykonywany jest okolicznościowy złoty kielich, na którym umieszczone będą medaliony przedstawiające sceny z koronacji. Jako parafialne wotum dla Matki Bożej z okazji 50. rocznicy koronacji Jej Wizerunku złożona zostanie ręcznie wykonana złota róża.

Podczas uroczystości koronacyjnych limanowskiej Piety uczestniczyło wiele reprezentacji różnych środowisk, m.in. wyższych uczelni katolickich oraz wielu hierarchów kościelnych z całej Polski. Jaki charakter będą miały obchody Złotego Jubileuszu koronacji Cudownej Figury?

Wprawdzie rocznica koronacji nie jest tym samym co sama koronacja, niemniej jednak chcemy w pewien sposób nawiązać do tamtej uroczystości, przypominając ją tym, którzy w niej uczestniczyli i w nawiązaniu do niej zorganizować obchody Jubileuszu, aby również dzisiejsze pokolenie mogło przeżyć doniosłe spotkanie z Matką Bożą. Chcemy, aby ten Jubileusz pozostawił trwałe ślady w naszej pamięci i przede wszystkim przyczynił się do pogłębienia miłości do Maryi oraz pomógł w wypełnianiu testamentu Matki Bożej, która powiedziała: „Uczyńcie wszystko, co wam powie mój Syn”.

Pragniemy również wypełnić testament Jezusa z krzyża, który ofiarował nam wszystkim swoją Matkę, a przez to prosił, aby Ona była obecna w naszych sercach i stała się wzorem w wypełnianiu woli Bożej. Dlatego też hasłem obchodów 50. rocznicy koronacji będą słowa, które stanowiły hasło podczas uroczystości w 1966 r. Słowa te zaczerpnięte zostały z pieśni ułożonej przez Księdza Piotra Longina Bednarczyka. W ten sposób chcemy też uhonorować Biskupa Piotra i upamiętnić jego zaangażowanie w przygotowanie koronacji.

Na wrześniowe uroczystości jubileuszowe będziemy zapraszać zarówno księży biskupów, kapłanów, siostry zakonne, przedstawicieli uczelni katolickich oraz wiernych świeckich. Przede wszystkim jednak chcemy, aby w tych uroczystościach wzięli udział mieszkańcy Limanowej i okolicznych miejscowości, którzy na co dzień żyją w blasku Pani Limanowskiej. Dokładna rocznica przypada 11 września, wtedy też zbierzemy się bardziej w gronie parafialnym, a główne obchody uroczystości jubileuszowych będziemy przeżywać podczas głównego odpustu od 15 do 22 września. Centralna uroczystość zaplanowana jest w niedzielę 18 września br. na godz. 11⁰⁰.

Co chciałby Ksiądz jeszcze dodać na zakończenie naszej rozmowy?

Wyrażam podziękowanie redakcji „Echa Limanowskiego” za zainteresowanie Jubileuszem koronacji Cudownej Figury Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej i przybliżanie treści związanych z kultem Matki Bożej, a zwłaszcza z uroczystościami koronacyjnymi. Dziękuję także za przyczynianie się do rozpowszechniania wśród Czytelników Waszego dwumiesięcznika kultu Matki Bożej Bolesnej. Zapraszam wszystkich Czytelników i Ich Bliskich na uroczystości 50. rocznicy koronacji Pani Limanowskiej.

Dziękuję za rozmowę. W imieniu redakcji życzymy Księdzu Proboszczowi, aby udało się zrealizować wszystkie plany.

Stanisław Ociepka

Rozmowa została przeprowadzona 1 czerwca 2016 roku.

Po dwudziestu latach

– makieta Jubileuszowego Krzyża

Stanisław Ociepka

Po przeszło dwudziestu latach od podjęcia decyzji o budowie limanowskiego krzyża wykonany został ze stali nierdzewnej (w skali 1:33) pamiątkowy model Jubileuszowego Krzyża z Chłopskiej Góry (Miejskiej) w Limanowej.

Wykonawcą tej makiety jest Wojciech Wojtas, syn Kazimierza, którego dziełem jest konstrukcja Jubileuszowego Krzyża zbudowanego pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

Realizator tego ciekawego pomysłu zapowiada, że sporządzi więcej takich modeli. Pierwszy model przekazany został biskupowi tarnowskiemu, Andrzejowi Jeżowi, limanowianowi z urodzenia. Ksiądz biskup Andrzej Jeż jest emocjonalnie związany z miejscem, gdzie został posadowiony Jubileuszowy Krzyż, bowiem w pobliżu znajdują się tereny i las Jego rodziny,

dlatego Chłopska Góra często przez tutejszych mieszkańców nazywana jest także Jeżową Górą.

Przypomnijmy, jak rodził się pomysł wybudowania najwyższego w Polsce krzyża, który dziś góruje nad Limanową i jest dla wielu turystów przybywających do naszego miasta jedną z nielicznych atrakcji.

W sierpniu 1995 roku pojawia się pierwsza decyzja w tej sprawie: „Zarząd Miasta po przedstawieniu przez p. Andrzeja Pilawskiego (ówczesnego członka Zarządu Miasta – przyp. red.) koncepcji budowy podświetlanego krzyża (...) uznał wniosek za słuszny i postanowił o rozpoczęciu przygotowania do realizacji tego zadania”.

► Patronat medialny nad realizacją tego zadania przyjął miesięcznik regionalny „Echo Limanowskie” ukazujący się na rynku wydawniczym w ówczesnym czasie od dwóch lat.

Wówczas mogliśmy na ten temat przeczytać: „*Okrągłe daty, szczególnie te, które wyznaczały granice wieków, zawsze skłaniały ludzi do snucia projektów wyrastających ponad codzienność. Również i w Limanowej zbliżający się rok 2000 zaowocował propozycją realizacji niezwykle przedsięwzięcia.*

Ewentualna realizacja tego projektu nabierze głębokiego sensu tylko wówczas, gdy wyniknie z woli wielu ludzi i będzie ich wspólnym dziełem” – („EL” nr 26, z października 1995 r.).

I tak się stało. Po wizji w terenie przeprowadzonej przez członków Zarządu Miasta Limanowa 6 września 1995 roku zmieniono lokalizację krzyża (wcześniej rozważano usytuowanie krzyża na Łysej Górze w miejsce już tam stojącego), proponując ustawienie go na szczycie Chłopskiej Góry ponad lasem miejskim. I tu prawdopodobnie pojawiło się po raz pierwszy określenie „miejski”, które ku zdziwieniu tutejszych mieszkańców doprowadziło później do zmiany określenia nazwy góry z Chłopskiej na Miejską, czego mieszkańcy tych rejonów nigdy nie zaakceptowali.

W listopadzie 1995 r. zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Krzyża na Chłopskiej Górze (Miejskiej). Przewodniczącym wybrano Ryszarda Kulmę. W pracach Komitetu uczestniczyło 12 osób. Podjęto wówczas decyzję o zwróceniu się do mieszkańców miasta o pomoc finansową i inną, aby projektowane zamierzenie mogło być zrealizowane. Jedną z ważniejszych decyzji Komitetu było przygotowanie plaketek - cegiełek na budowę krzyża. Ich projekt wykonał bezpłatnie inż. Leszek Piławski, a Komitet zlecił druk plaketek o nominałach: 1zł, 5zł, 10zł, 50zł, 100zł. Cegiełki były sprzedawane w sklepach, kioskach „Ruchu”, restauracjach, zakładach pracy oraz we wszystkich szkołach podstawowych i średnich rejonu limanowskiego.

Podjęto również promocję tego przedsięwzięcia na łamach prasy regionalnej, rejonowej, a także ogólnopolskiej. W „Echu Limanowskim” nr 31 z kwietnia 1996r. w artykule Józefa Szymona Wrońskiego zatytułowanym „Postawmy kropkę nad i” mogliśmy



Makieta Jubileuszowego Krzyża wykonana przez Wojciecha Wojtasa. [Fot. Stanisław Ociepka]

przeczytać: *Krzyż z platformą jako dominantą będzie zapewne elementem widokowym i jednocześnie celem weekendowych wędrówek nie tylko mieszkańców Limanowej, pragnących z góry spojrzeć na miasto, by rozkoszować się jego widokiem. To dobrze, ale myślę równocześnie, iż Limanowa ma duże szanse, by wkrótce stać się silnym ośrodkiem turystyki pielgrzymkowej i w tym upatruję ogromną szansę dla rozwoju miasta (...).*

Pierwsza kartonowa makieta Krzyża, który miał stanąć na Chłopskiej Górze (Miejskiej) została zaprezentowana w maju 1997 r. Autorem makiety (w skali 1:50) był projektant architektoniczny wizji krzyża inż. arch. Leszek W. Piławski. Można ją było wówczas oglądać w witrynie apteki „Centrum”.

W tym samym czasie Komitet Budowy Krzyża ogłosił przetarg nieograniczony na wykonanie konstrukcji żelbetonowej

krzyża. Warto również przypomnieć, że wszystkie prace projektowe związane z budową krzyża na Chłopskiej Górze wykonane zostały bezpłatnie. Ich autorami byli: inż. arch. Leszek Piławski – projekt architektoniczny, inż. Wiesław Smorgoński – projekt konstrukcyjny, inż. Józef Stach – projekt konstrukcyjno-wykonawczy. Inspektorem nadzoru wszystkich prac był inż. Rudolf Zaczyński.

Podczas Dni Limanowej na rynku ustawiona została duża skarbonka, do której mogli limanowianie składać datki na budowę krzyża. Skarbonkę wykonał nieodpłatnie limanowski rzemieślnik Adam Czaja.

W kolejnych wydaniach „Echa Limanowskiego” w kolumnie zatytułowanej „Budujemy Krzyż”, Społeczny Komitet Budowy Krzyża informował o postępach prac przy budowie tego monumentu.



Krzyż na Miejskiej Górze (Chłopskiej) nocą. [Fot. Dariusz Ociepka]

W numerze 56 „Echa Limanowskiego” z sierpnia 1998 r. mogliśmy przeczytać: *Do tej chwili zużyto około 250 ton betonu, dużą ilość stali zbrojeniowej oraz kilkanaście metrów sześciennych drewna do szalunków. Zgodnie z wcześniejszymi założeniami planuje się jeszcze w tym roku wykonanie schodów na taras i wymurowanie kapliczki pod tarasem. Rozstrzygnięto także przetarg na wykonanie balustrad. Wygrał go Zakład Ślusarski Kazimierza Wojtasa.*

W sierpniu Zarząd Miasta Limanowa ogłosił przetarg na wykonanie i montaż konstrukcji stalowej krzyża. Ustalono, iż termin realizacji będzie do 15 maja 1999 roku. Otwarcie ofert nastąpiło w Urzędzie Miejskim w Limanowej 19 sierpnia 1998 r. Przetarg na wykonanie tego zadania wygrał Zakład Ślusarski Kazimierza Wojtasa (dziś firma „Ekopromet”).

W obecności kilku tysięcy limanowian 3 października 1998 roku został wmurowany kamień węgielny pod Krzyż roku 2000. Pierwszą na tym miejscu Mszę Świętą odprawił ks. bp Piotr Bednarczyk, wielki orędownik powstającego Jubileuszowego Krzyża, w koncelebrze wielu proboszczów okolicznych parafii.

Trwające czwarty rok prace organizacyjne i budowlane przy Krzyżu – monumencie upamiętniającym 2000 lat Chrześcijaństwa zostały zwieńczone rozpoczęciem prac konstrukcyjnych stalowego krzyża, które wykonywane

były przez zakład Kazimierza Wojtasa w Ujanowicach. Przebieg tych prac w marcu 1999 r. wizytowali ks. bp Piotr Benarczyk, ks. prałat Józef Poręba oraz członkowie Komitetu Budowy Krzyża.

W dniach 19-20 maja firma „Mostostal” z Krakowa dokonuje posadowienia Krzyża. Pracom montażowym przyglądała się liczna grupa mieszkańców Limanowej oraz władze kościelne i samorządowe miasta i powiatu. W „Echu Limanowskim” nr 65 z czerwca 1999 r. na ostatniej stronie opublikowany został reportaż fotografii kolorowej zatytułowany „Krzyż Roku 2000” z podpisem: **Urzeczywistniły się wewnętrzne pragnienia mieszkańców naszego miasta – stanął Krzyż, który umacniać nas będzie w wierze i tradycji przodków.**

Dwukrotnie w „Echu Limanowskim” zostały opublikowane okolicznościowe wkładki zatytułowane: „Krzyż Roku 2000” („EL” nr 57, wrzesień 1998 r. i „EL” nr 67, wrzesień 1999 r.). Publikacje te miały charakter kalendarium prac Społecznego Komitetu Budowy Krzyża. We wstępie części 1. „Pomnik dla przyszłości” mogliśmy przeczytać: *Już jest. Już zakorzenił się w świadomości limanowian. Już z wielu punktów miasta widać pnącą się wzwyż podstawę wielkiego pomnika. Pomnik wznosi się dla przyszłości. Wobec następných pokoleń świadczyć ma o istnieniu czegoś w przeszłości, która dla nas jest terażniejszością. Jakie to będzie świadectwo?(...)Już niedługo pojawi się na tle nieba(...). Szczyt góry na której*

stanie, będzie zapewne miejscem refleksji, modlitwy, odpoczynku po wędrówce, zachwytu nad pięknem krajobrazu, celem pielgrzymek i turystycznych wędrówek – miejscem niezwykłym(...).

16 czerwca o godz. 9²⁵ papież Jan Paweł II w drodze do Starego Sącza zatrzymał się przed bazyliką w Limanowej. Błogosławił miasto, jego mieszkańców a także Krzyż Jubileuszowy. Planowany wcześniej przelot helikopterem nie doszedł do skutku z powodu warunków pogodowych i niedyspozycji zdrowotnej papieża.

1 sierpnia 1999 r. na Miejskiej Górze odbyła się uroczystość poświęcenia Krzyża oraz kaplicy z relikwiarzem zawierającym kamień z Golgoty. Celebry Mszy św. przewodniczył ks. bp Wiktor Skworec – ordynariusz diecezji tarnowskiej. W czasie homilii m. in. powiedział: (...) **Witaj Krzyżu, jedyna ucieczko nasza, witaj Krzyżu postawiony na Miejskiej Górze, witaj źródło życia, miłości, solidarności zmartwychwstania i pokoju (...).**

Już 17 lat trwa Krzyż na Miejskiej (Chłopskiej)/Jeżowej Górze. Stał się miejscem pielgrzymek zarówno mieszkańców naszego miasta jak również turystów przybywających do Limanowej. Co roku odprawiana jest tu Msza św. w rocznicę poświęcenia monumentu, a od roku 1999 w pierwszą niedzielę stycznia turyści z goprowcami spotykają się, by przy Krzyżu III Tysiąclecia przywitać kolejny Nowy Rok.

Rozmowa z Jego Ekscelencją ks. bp. dr. Andrzejem Jeżem – ordynariuszem diecezji tarnowskiej

Ekscelencjo! Ks. Biskup urodził się w Limanowej, a więc u boku Matki Bożej Limanowskiej. Znając Rodziców Ekscelencji, wiem, że musieli bardzo wcześnie wprowadzić ks. Biskupa w kult Matki Bożej Limanowskiej. Proszę powiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach po raz pierwszy świadomie jako dziecko zetknął się ks. bp z Matką Bożą Limanowską? I jakie wywarło to wrażenie?

– W miarę upływu lat z sentymentem wracamy do najwcześniejszych uświadomionych obrazów dzieciństwa. Z moich wspomnień wyłania się pierwszy zapisany w świadomości dziecka obraz bliżej nieokreślonej uroczystości celebrowanej w naszym kościele parafialnym. Mój ojciec trzymał mnie na ramionach, a ponieważ był mężczyzną bardzo wysokim, mogłem widzieć pod sobą falujący łańcuch ludzkich głów. Znajdowaliśmy się w prezbiterium, dlatego moją uwagę przykuła Pani siedząca na tronie, trzymająca w ramionach jakiegoś pokrwanionego Człowieka. Mój wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem Pani płynącym z Piety Limanowskiej.

Jako parafianin (m.in. lektor) wzrastał ks. Biskup w kulcie Matki Bożej Limanowskiej. W jakim stopniu Matka Boża Limanowska i osoby (jak ks. Marian Tyrka, ks. Józef Poręba i ks. bp Piotr Bednarczyk), Jej wielcy czciciele, wpłynęły na powołanie kapłańskie ks. Biskupa?

– Kościół limanowski znajduje się w centrum naszego miasta i kotliny. Zawsze jest dla limanowian duchowym i estetycznym punktem odniesienia. Pracując na polach rozsianych na wzgórzach okalających naszą świątynię, miałem wewnętrzne odczucie, że moja osoba i cały otaczający mnie świat pozostaje w głębokiej relacji do naszego kościoła i do wypełniających go miłujących Osób Trójcy Świętej oraz Limanowskiej Pani. Rytm przyrody wyznaczał rytm pracy na roli, a w to wszystko wpisywał się rytm świąt liturgicznych nasyconych obecnością Matki Bożej Bolesnej. Katecheza



Ks. bp Andrzej Jeż podczas prymicyjnej Mszy św. w bazylice limanowskiej - 24 czerwca 2012 roku.

w szkole podstawowej i w liceum odbywała się w salkach katechetycznych przy limanowskim kościele i przy plebanii. Dzieci i młodzież tłumnie nawiedzały Chrystusa i Maryję w limanowskim sanktuarium. W tym kontekście niezaprzeczalny wpływ na moją duchowość i pobożność maryjną mieli ks. Jan Rachwał, ks. bp Piotr Bednarczyk, ks. Józef Poręba i ks. Marian Tyrka. Ich umiłowanie Limanowszczyzny, Matki Bożej Bolesnej oraz głęboka wiara w opatrnościowe działanie Trójcy Świętej pozostają we mnie na trwałe.

Z homilii i kazań Ekscelencji, jak również patrząc na wizerunek Matki Bożej na mitrze biskupiej Ekscelencji, zauważyć można wielki kult ks. Biskupa do Matki

Bożej Limanowskiej. Co zawdzięcza ks. Biskup Matce Bożej w Jej limanowskim wizerunku? W jaki sposób Matka Boża Limanowska wywiera wpływ na posługę biskupią Ekscelencji?

– Jestem przekonany wewnętrznie, że podobnie jak moi Rodacy, w kulcie Matki Bożej Bolesnej odnajduję pokój wewnętrzny, kiedy przychodzą bolesne chwile, których w życiu biskupim raczej wciąż przybywa. W osobie Pani Limanowskiej mogę głębiej doświadczyć bliskości Trójcy Przenajświętszej, miłości do Kościoła i większej otwartości na wszystkich ludzi, gdyż Maryja trzymająca Chrystusa na swoich ramionach przypomina próg Domu Ojca, przez który pragnie się przejść bez lęku, z nadzieją każdego dnia, dotykając naszej ziemi.

W Jej spojrzeniu odnajduję drogę do wnętrza mojego życia – prowadzony przez Ducha Świętego.

Wiadomo, że parafia limanowska od jakiegoś już czasu przygotowuje się do obchodów Złotego Jubileuszu Koronacji Piety Limanowskiej. W jakim stopniu Diecezja Tarnowska będzie w tym uczestniczyć, biorąc pod uwagę fakt, że koronacja Piety odbyła się w Limanowej w ramach diecezjalnych obchodów Millenium Chrztu Polski?

– Koronacja Piety Limanowskiej była ściśle wpisana przez Stefana kard. Wyszyńskiego w ogólnopolskie przygotowania do obchodów Millenium Chrztu Polski. Dlatego po 50 latach od tamtego wydarzenia pragniemy mu nadać charakter obchodów diecezjalnych, przy udziale hierarchów Kościoła w Polsce. W tej perspektywie przygotowaliśmy m.in. czytanki majowe oraz wydawnictwa ujmujące to jubileuszowe wydarzenie. Punktem kulminacyjnym obchodów diecezjalnych będzie wrześniowy odpust sanktuaryjny.

Jaka nauka powinna płynąć dla nas wierzących w świetle zbliżającego się Złotego Jubileuszu Koronacji Piety Limanowskiej? Co chciałby ks. Biskup przekazać limanowianom na ostatnie dni przygotowań, w szczególności przygotowań duchowych?

– Pragnę, aby limanowianie nadal kultywowali szacunek do tradycji duchowej, którą od wieków nosimy w sobie; by pogłębiali pobożność maryjną przez solidną lekturę Pisma Świętego i poszerzoną wiedzę o Bogu i Kościele. Taka wiedza pozwala bez lęków i kompleksów głosić Boga w świecie pełnym wyzwań. Życzyłbym moim Rodakom, aby nadal zachowywali otwartość i życzliwość dla innych ludzi, gdyż jesteśmy pod tym względem bardzo dobrze oceniani w Polsce i poza jej granicami. Pozytywną cechą jest pracowitość, zapobiegliwość, którą wynieśliśmy z dotykającej nas kiedyś biedy. Jestem przekonany, że wszystko, co najlepsze w nas, płynie z dziecięcego przytulenia do Matki Bożej Limanowskiej.

Mówi się, że Matka to najpiękniejsze słowo świata, a dobra Matka to wielki skarb. Takim skarbem dla człowieka jest jego Matka ziemiska, a dla wierzącego człowieka Matka Boża. Jakim nieodkrytym do końca skarbem jest Matka Boża



i na co powinniśmy w obliczu Złotego Jubileuszu Koronacji Piety Limanowskiej zwrócić baczniejszą uwagę?

– W obliczu współczesnych wielorakich zagrożeń nękających świat i Europę jesteśmy pewnego rodzaju enklawą duchowości, która może odnawiać świat pozbawiony głębszych wartości. Kult Matki Bożej Bolesnej nie jest elementem historycznego lamusa, ale otwarciem się na przyszłość. Wpisujemy się tutaj w młodość odradzającego się Kościoła, tak wyraźnie uwypukloną doświadczeniem Świątowych Dni Młodzieży. Maryja przytulająca Chrystusa uczy nas doświadczenia miłosiernego Ojca, którego oblicze nosimy w sobie, gdy mocą Ducha Świętego okazujemy miłosierdzie ubogim duchowo i materialnie. Jestem

przekonany, iż nieodkrytym do końca skarbem jest otwarte spojrzenie na życie wieczne, które już tu na ziemi tkamy z naszych codziennych uczynków.

Z serca błogosławię naszemu umiłowanemu Miastu i drogim Rodakom.

Dziękujemy Ekscelencji za rozmowę i błogosławieństwo dla miasta i jego mieszkańców.

**Rozmawiał: Józef Szymon Wroński
Fotografie: Franciszek Natanek**

Budowa kościoła w Sowlinach

Wspomnienia ks. prał. Jana Bukowca

– budowniczego i proboszcza kościoła cz. 3



Współczesny wygląd kościoła pw. św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach. [Fot. Stanisław Ociepka]

Dokończenie budowy

Na moje pytanie, czy ks. Prałat miał wizję, jak ma wyglądać świątynia, a przede wszystkim, czy mógł pogodzić się z brakiem wieży przy kościele, otrzymałem ciekawą i pokorną odpowiedź: Może nie miałem wizji, ale wiedziałem, że reżim kiedyś pęknie i w trakcie wylewania fundamentów staraliśmy się postępować tak, aby zrobić również fundament pod przyszłą wieżę, którą będzie można zakończyć później, gdy przyjdzie odpowiedni czas. We wstępnym projekcie wieża, w której miały być zawieszane dzwony, zaprojektowana w formie trójkąta, naśladująca fronton (jego miniatura), ustawiona była z boku. Nie zostało to jednak zaakceptowane przez kurie. Następny wariant wieży zaproponował duet architektów, który zaprojektował wieżę wolnostojącą. Na to też nie wyrazili zgody ani architekt (projektant), ani kuria w Tarnowie¹.

Poszukiwanie odpowiedniego planu wieży-dzwonnicy

Zacząły się więc kolejne poszukiwania rozwiązania odpowiedniej formy wieży-dzwonnicy. Ucząc religii w II klasie Szkoły Podstawowej nr 2 w Limanowej – mówi ks. Prałat – zleciłem uczniom na zadanie domowe narysowanie kościoła jako budynku sakralnego z wieżą, ponieważ żyłem bardzo tym problemem, nie dawał mi on spokoju, spędzał mi sen z powiek. Jako wynik zadania – dodał ks. Prałat – otrzymałem szereg ciekawych i zastanawiających rozwiązań. Ale jedna praca doprawdy mnie zdumiała, zaskoczyła i jednocześnie niezmiernie ucieszyła. Miałem przed sobą w zeszytce, na kartce papieru narysowany nasz kościół (w Limanowej-Sowlinach), tylko uzupełniony o dwie wieże (wieżę i sygnaturkę). Zapytałem uczennicę, właścicielkę tego zeszytu, czy to

ona sama malowała i rysowała. Odpowiedziała: nie, narysował mi to mój dziadziuś. Na pytanie, jak się dziadziuś nazywa, usłyszałem nazwisko Pilawski. Był to rysunek, który powstał 8 maja (w dniu Św. Stanisława BM) 1998 r. To całe zdarzenie, a przede wszystkim ta koncepcja tak bardzo przypadła mi do gustu – powiedział mi ks. Prałat – że poprosiłem arch. mgr. inż. Leszka Wojciecha Pilawskiego o zaprojektowanie takiej wieży i wieżyczki w rzeczywistości.

Czas przeznaczony na projektowanie wieży-dzwonnicy i sygnaturki

„Ks. prał. Jan Bukowiec – powiedział mi arch. Leszek W. Pilawski – nawiązał ze mną kontakt i poprosił mnie, abym nakreślił koncepcję obu wież dla kościoła w Limanowej-Sowlinach. W oparciu o rysunek wykonany przeze mnie dla wnusi Karolinki jako zadanie domowe z religii, rozwiązałem koncepcję projektową w formie rzutów i elewacji. Poprosiłem ks. Prałata, aby skonsultował ten projekt z architektem kościoła Czesławem Białym. Ks. Prałat tak też uczynił. Pojechał do Nowego Sącza i przedstawił ją architektowi. Gdy arch. Czesław Biały zobaczył tę propozycję, nie krył zaskoczenia. Zgodził się jednak na nią, ale równocześnie zaproponował kilka swoich wersji. Ks. Prałat pokazał mi – o ile dobrze pamiętam – chyba 3 jego wersje, a następnie udał się z wszystkimi wersjami (arch. Czesława Białego i moją) do Tarnowa, aby w Kurii Diecezjalnej przedstawić je do ostatecznego wyboru”. Kuria dokonała wyboru wersji projektowej, wykonanej przez arch. Leszka Wojciecha Pilawskiego - podkreślił ks. Prałat.

Poszukiwanie stosownego materiału

Mieliśmy akceptację kurii, poświadczoną pismem z lipca 1998 r., ale również tynkowanie wieży, mierzącej prawie 40 m. wysokości, według mnie – mówił ks. Prałat – nie wchodziło w rachubę. Pojechałem więc do proboszcza w Trzcianie, ks. Władysława Jemioła, kolegi rocznikowego, z którym studiowałem w Seminarium Tarnowskim, który dobudował do zażytkowego kościoła w tej miejscowości dwie wieże i pokrył je nierdzewną blachą. Wziąłem od niego próbkę owej blachy i pokazałem ją arch. Pilawskiemu, który zachwyił się nią i skomentował jednym słowem – idealna (bo jest imitacją białego koloru). Zaakceptował więc nierdzewkę, którą załatwiliśmy w Centrali (Materiałów Metalowych i Nierdzewnych) w Świątnikach Górnych. Gdy przyjechaliśmy do Świątnik, w Centrali przyjęli nas bardzo chłodno, gdyż myśleli, że przyjechaliśmy jedynie pooglądać, a więc na rekonesans, a nie z zamiarem zakupu. Gdy przekonali się jednak, że jesteśmy „na kupnie” kajnerowskiej blachy nierdzewnej, od razu zmienili do nas nastawienie. Zaprosili nas – mówi ks. Prałat – na kawę i kazali nam poczekać na termin, który uzgodnią z fabryką produkcji owej blachy we Włoszech. Sami ją następnie dostarczyli na miejsce do parafii w Limanowej-Sowlinach (po wpłaceniu przez nas naturalnie jakiejś kwoty zaliczki)².

Budowa tak potrzebnej i upragnionej wieży kościelnej i sygnaturki

„Po dokonanych wyborze można już było sporządzić projekt architektoniczno-konstrukcyjny wież – powiedział arch. Leszek W. Pilawski – którego konstruktorem został mgr inż. Dariusz Monasterski, pochodzący z Miastka na Pomorzu koło



Budowa wieży w kościele w Sowlinach - lipiec 2003 r. [Fot. Franciszek Nataneł]

Ślupska, a mieszkający obecnie w Starej Wsi koło Limanowej. Podpis pod projektem złożył też inż. konstruktor Józef Stach. Aby móc rozpocząć budowę wież, potrzebny był jeszcze podpis inżyniera sprawdzającego, którym była arch. mgr inż. Elżbieta Zięba. Praca nad koncepcją architektoniczno-wykonawczą wieży rozpoczęła się w lipcu 1999 roku. Budowa wież, zaraz po jej urzędowym zatwierdzeniu, rozpoczęła się w 2001 r., a prace nad nimi zakończyły się w roku 2003³. Wykonawcą była Naftobudowa (firma mająca siedzibę na terenie dawnej rafinerii nafty w Sowlinach), zaś kierownikiem budowy został p. Janusz Liszka” – powiedział arch. Pilawski i dodał: „Wieża od posadzki dolnej kościoła do kuli na jej szczycie mierzy 40 m., natomiast wraz z wieńczącym ją krzyżem 44 m.” (jest to więc Mickiewiczowskie symboliczne 44, chociaż – jak podkreślał arch. Leszek Wojciech Pilawski – nie było to wcale działanie ani świadome, ani zamierzone).

Fachowcy odpowiedzialni za poszczególne działy

Aby móc budować kościół i być w stanie podołać różnym trudnościom – powiedział mi ks. prał. Jan Bukowiec – trzeba zgromadzić wokół siebie grupę oddanych ludzi o różnych specjalnościach, najczęściej fachowców, którzy są odpowiedzialni za konkretne działy, w tym za kierownicze, wiodące stanowiska, a następnie ludzi z dużym doświadczeniem zawodowym, prowadzących specjalistyczne roboty. Dlatego został powołany w roku 1978 Społeczny Komitet Budowy Kościoła. Jego przewodniczącym został ks. Jan Bukowiec. Do komitetu weszli: Stanisław i Piotr Dutka, Józef Wielkiewicz i Stanisław Jędrzejek – odpowiedzialni za sprawy elektryczne, Stanisław Baranowki – odpowiedzialny za zaplecze żywnościowe, Kazimierz Czachurski i Zofia Dziadoń – sprawy aprowizacyjne, Władysław Brajner „dusza budowy”. Zaopatrzeniem w materiały budowlane zajmowali się: Józef Wrona, Jan Skrzekut, Jan Sułkowski, rodzina Łyszczarów. Zaplecze budowy przygotowali

► doświadczeni emeryci: Antoni Grochot, Michał Drożdżak, Ksawery Aleksandrowski, Jakub Kurczab, Jan Winiewski. Zaopatrzeniem w napoje zajmował się Michał Wrona, który osobiście przywoził je na plac budowy. Pierwszym majstrem budowy był Michał Sułkowski, a po nim Jan Golonka. Trzeba było mieć także specjalistów odpowiedzialnych za przygotowanie odpowiedniej dokumentacji i prowadzenie rejestru wydatków (wpływów i rozchodów) itp.⁴ Takie odpowiedzialne osoby zgromadził wokół siebie ks. Prałat.

Oprócz arch. Czesława Białego, wielką rolę odegrał w tym względzie także mgr inż. Franciszek Michałek jako fachowiec i kierownik budowy kościoła. Jego pomoc – mówił ks. Prałat – była niezwykle ważna dla całej budowy. Wielką pomoc okazali także Władysław Garcarz i mgr inż. Jan Widomski, a w ostatnim okresie także arch. mgr inż. Leszek Wojciech Piławski, który miał wpływ na ostateczny kształt kościoła. Takich osób było wiele. Ich imiona i nazwiska, zapisane w Kronice, znane są na pewno Panu Bogu; na nich można było polegać, jak na przysłowiowym Zawiszy i można było na nich o każdej porze dnia i nocy liczyć.

Byli nimi także, bo odeszli już do wieczności, p. Władysław Lubecki, mgr Józef Staniszewski, prof. Liceum Ogólnokształcącego w Limanowej. Ważną osobą był Władysław Lubecki, który pełnił funkcję kreatywnego księgowego (prowadził rejestry wszystkich wydatków związanych z budową kościoła), podliczał, księgował, prowadził je tak skrupulatnie, że dyrektor Urzędu Skarbowego – wspominał ks. Prałat – proponował mi zamianę na jego stanowisku, bowiem mówił przewrotnie i z ogromną sympatią o nim, że tak dokładnie prowadził te rachunki, że nie można było w nich znaleźć żadnego błędu. Ks. Prałat określił go terminem „dziubdzius”, co w hierarchii i skali ewaluacji ks. Prałata, oznacza najwyższą ocenę, jaką można było od ks. Prałata otrzymać, wyrażoną w takich atrybutach jak: skrupulatny, odpowiedzialny, prawy i prawowitny. Dzięki jego pracy – podkreślał ks. Prałat wielokrotnie – najprawdopodobniej uniknąłem wielu nieprzyjemności, a może nawet więzienia, kto to wie w tamtych czasach wszystko było możliwe – dodał ks. Prałat.

Jednym z tych, którzy odeszli do wieczności, a należy im się wdzięczność moja i parafian – mówił ks. Prałat – jest na pewno Józef Staniszewski, człowiek duchowo niezwykle ukształtowany, który całą budowę udokumentował swoimi zdjęciami, a robił je perfekcyjnie, nieraz przychodził parokrotnie na budowę, długo czekając na odpowiednie światło, oświetlenie, aby zdjęcie miało swój najlepszy i pełny wyraz. Pan Staniszewski pozostawił setki zdjęć, które znajdują się w Archiwum Parafialnym w Limanowej-Sowlinach. Jego dokładność [przy robieniu zdjęć – dokumentacji fotograficznej] przekraczała ludzkie granice. Jako przykład niech posłuży jedno, jedyne zdarzenie, jakie przytoczył ks. Prałat: „Pewnego razu, jadąc z nim z Kamienicy przez Ostrą, urzekła go swoim niepowtarzalnym urokiem zima tak dalece, że potrafił wyjść z samochodu, poszedł w szczerze pola, położył się na śniegu po to, aby zrobić zdjęcie według swojego upodobania”. Wróćmy jednak do żywych, którzy oddali wielkie usługi przy budowie kościoła, a byli oni częścią większej całości. Wielką pracę wykonał w tym względzie mgr inż. Jan Widomski, główny geodeta kościoła (miał do pomocy innych współpracowników, m.in. Antoniego Kmona) i jeszcze wielu innych, z którymi wiele spraw omawiał, opracowywał i wykonywał, bo wszystkie

uzgodnienia musiały przejść przez biuro geodezyjne, które te uzgodnienia i orzeczenia wydawało i zatwierdzało.

Prawą ręką przy budowie kościoła, pełniąc funkcję gospodarza (miał też wiele innych ważnych funkcji) – mówił mi ks. Prałat – był p. Władysław Garcarz – prezes GS w Tymbarku. Był przez władze szykanowany, gdyż ktoś z »życzliwych« doniósł, że chodzi w niedzielę po składce w kościele. Tak było naprawdę, potwierdził to pan Garcarz w rozmowie ze mną (niżej podpisanym), gdy go odwiedziłem i dodał: „za to zostałem ukarany: Komitet zdjął mnie ze stanowiska prezesa wielobranżowej spółdzielni w Limanowej, dlatego znalazłem się w Tymbarku. Była to największa ze spółdzielni w powiecie limanowskim, zatrudniająca 627 osób”.

Spojrzenie z perspektywy parafianina

- Cieszę się – powiedział mi pan Garcarz – że ktoś zainteresował się osobą Wielebnego ks. Prałata Jana Bukowca, który dla naszego otoczenia jest bohaterem w tamtych trudnych czasach komunistycznych. Jego działalność przypadła na bardzo trudny okres. Otóż, stara kaplica (wydzielona z niemieckiego baraku dla więźniów radzieckich) była bardzo zniszczona, rozlatywała się – mówił p. Garcarz. W tej sytuacji ks. Bukowiec podjął się niemal karkołomnej decyzji – budowy kościoła w Sowlinach. Kłody rzucane mu pod nogi, by przeszkadzać w jego szlachetnym działaniu, to m.in.: utrudnianie wszelkimi sposobami uzyskania zezwolenia [na budowę kościoła]. Nadmienię – mówił dalej p. Władysław Garcarz – że niektórzy miejscowi działacze limanowscy mogli pomóc, to jednak nie podali ręki [...]. Po mozolnym staraniu się (w wydziale architektury w Nowym Sączu) rękę podał mu w sposób zdecydowany Antoni Rączka, I sekretarz PZPR w Limanowej. Gdy został I sekretarzem, zaczął rozpoznawać w terenie tzw. białe plamy w różnych zakresach życia społecznego i gospodarczego, także budownictwa. Trafił wówczas na ks. Bukowca, gdyż ten zadzwonił do niego, prosząc o rozmowę, którą traktował jako ostatnią deskę ratunku. Antoni Rączka umówił się z nim i przyjął go życzliwie i serdecznie – skwitował p. W. Garcarz⁵.

- Wszystkie trudne sprawy, związane z załatwieniem materiału, naszemu Prałatowi śniły się po nocach, bowiem musiał je załatwiać prywatnie. W okresie budowy kościoła istniał zakaz sprzedaży materiałów budowlanych i nie tylko dla parafii, ale także i imiennie dla księży. Na kościół – mówił p. Garcarz – żadnego przydziału materiału nie można było dostać. A jeśli znaleźli się odważni sprzedawcy, to wystawiali rachunki-faktury na nazwiska mieszkańców z Sowlin, na przykład: zakupu stali żebrowanej gr. 24 mm „dokonało” ponad 60 mieszkańców – parafian. Tak było też z innymi materiałami. Ponieważ pan Władysław Garcarz miał ogromne rozeznanie w zakresie możliwości nabywania potrzebnych materiałów, wskazywał wszelkie możliwe adresy i kontakty z firmami i osobami, z którymi ks. Prałat się kontaktował. Najpierw uprzedzałem – mówił p. W. Garcarz – że przybędzie do was taki a taki człowiek (czyt. ks. prał. Jan Bukowiec), dopiero potem ks. Prałat udawał się w to miejsce. Chodziło o to, że pojawi się w danej firmie osoba wiarygodna (ks. z Limanowej-Sowlin). Zakupione materiały były rzekomo w drugim gatunku, gdyż w pierwszym gatunku nie mogli go sprzedać (zafakturować), przegatunkowywali więc dany materiał z pierwszego na drugi.

Kolejna sprawa to transport. Przewoźnicy tacy jak Państwowa Komunikacja Samochodowa (PKS) czy Spółdzielnia Transportu Wiejskiego (STW) w Limanowej nie mogli przyjąć zlecenia przewozu. Trzeba było załatwiać transport na własną rękę. Dostawa materiałów odbywała się zazwyczaj w nocy. Ks. Prałat wybrał sobie 6-osobową grupę mężczyzn, najbliższej mieszkających, posiadających telefony, którzy – jak była dostawa – poinformowani telefonicznie, zjawiali się wówczas jak jeden mąż o określonej godzinie do rozładunku (byli do dyspozycji o każdej godzinie dnia i nocy). Trzeba też dodać, że przy każdym rozładunku pomagał ks. Prałat także osobiście (włączał się fizycznie do każdej pracy, dźwigał stal, nosił kamienie, beton itd.). W czasie rozpoczęcia pracy kilkanaście razy dziennie ks. Prałat był na budowie, patrzył, doglądał, sprawdzał, czy wszystko odbywa się zgodnie z planem i dokumentacją. Dla zobrazowania Jego wielkiego zaangażowania, także fizycznego, w budowę, pan Władysław Garcarz przytoczył jeden ciekawy moment: „Gdy młodzi, mocni robotnicy nie byli w stanie rozbić dużej skały, chociaż wielokrotnie próbowali i pot spływał strumieniami z ich czoła, wówczas ks. Prałat wziął do ręki największy młot i uderzył tak trafnie, że kamień pękł na dwie części. Miał w tym względzie doświadczenie, które zebrał w młodości w rodzinnych stronach, gdyż pochodził z terenu obfitującego w kamień, często był świadkiem techniki łupania, rozbijania kamieni”.

Następny problem to środki finansowe potrzebne na zakupy, wypłatę firmy budowlanej, pracującej pod kierownictwem p. inż. mgr. Franciszka Michałka jako inspektora nadzoru. Inne prace (niefachowe) – roboty pomocnicze wykonywali wyznaczeni przez Proboszcza ludzie z osiedli i przysiółków po około 20 osób co tydzień. Do dnia dzisiejszego pojąć nie mogę – mówił p. Władysław Garcarz – w jaki sposób ten Wielki i Zacny Proboszcz z tym sobie poradził. Ks. Prałat czuł się dobrze, ponieważ wokół siebie zgromadził grupę starszych, doświadczonych parafian, którzy mu doradzali, pomagali, a w sytuacjach trudnych pomagali mu wyjść z impasu. Ks. Prałat często powtarzał – przypominał o tym p. Władysław Garcarz: „Dobrze, że są dobrzy ludzie, którzy mogą pomóc”. Ks. Prałata wspierali również ludzie, którzy pomagali mu w tarapatkach finansowych. Chociaż pozostają anonimowi, bo działali *Ad Majorem Dei Gloriam* (Na Większą Chwałę Boga), to nie należy o nich zapominać, trzeba o nich przynajmniej wspomnieć w modlitwie, gdyż chcieli i wspomagali budowę z własnej nieprzymuszonej woli (chodziło tu także o większe sumy pieniężne). W owej, wspomnianej wyżej szóstce, która pomagała w każdej chwili i potrzebie, był m.in. Władysław Brajner, u którego były przechowywane materiały (deski dębowe suszyły się prawie 5 lat), by ich nikt nie rozkradł (były w pewnych rękach). Było takich ludzi i parafian wielu. Jedni z pierwszych, najbardziej ofiarnych osób – według słów p. Władysława Garcarza – których należy wymienić to p. Edward Bukowski i Jan Czaja – z zawodu kowal. Na tej liście zasłużonych w sprawie budowy kościoła znajduje się cała długa litania ludzi, którą w rękę dźwierz sam Bóg i w sobie właściwy sposób im wynagradza, a bez których budowa kościoła nie szłaby chyba wcale, a może nawet utknęłaby w martwym punkcie. Im należą się słowa wielkiego podziękowania i pamięć w modlitwie, którą parafia odmawia za dobroczyńców, darczyńców i budowniczych kościoła.

Bardzo mądrym działaniem Proboszcza było odprawianie

nabożeństw w fundamentach nowego kościoła – mówił p. W. Garcarz – co działało mobilizująco na hojność wiernych, którzy składali ofiary na tacę. Nigdy ks. Proboszcz nie wyznaczał ustalonej kwoty dla mieszkańców przynależnych do wspólnoty parafialnej. Wierni parafianie, widząc szybki postęp w budowie, zaczęli hojniej pomagać, a[le] potrzeby były ogromne, bo ks. Proboszcz myślał już o wystroju wnętrza, szatach liturgicznych, kielichach i wielu innych wydatkach, koniecznych do oddania kościoła w użytkowanie – dodawał p. W. Garcarz. Podejście ks. Prałata do wiernych było czymś, czego dotychczas nigdy nie doświadczyli – relacjonował p. Garcarz. Wszystkich zapraszał, wszystkim dziękował, niktogo nie pominął, by podziękować osobiście. Miał ogromną umiejętność, nader rzadki dar zachęcania ludzi, włączania ich do wspólnej sprawy, jaką była budowa kościoła. Na skutek tego, że angażował się bez reszty, nie oszczędzał się, a nawet często pracował bez odpowiedniego ubrania, przypłacił [to] – moim zdaniem – swoim zdrowiem, dodał p. W. Garcarz. [Wspomnienia z 5 grudnia 2015 r.]

Podsumowujące

– kluczowe słowa ks. Prałata

Muszę nadmienić – dodał ks. Prałat – że budowaliśmy kościół od 1979 r. i do jego poświęcenia minęło 14 lat, ale z pracami przygotowawczymi budowa trwała znacznie dłużej, a i dzisiaj nie jest on jeszcze w 100 procentach wykończony. Z ogromnym zapałem – powiedział mi ks. Prałat – zabrałem się do budowy, nie zdając sobie wówczas sprawy z tego, co mnie czeka. Może i dobrze, bo gdybym wiedział – powtórzył mi ks. Prałat – może nigdy nie zabrałbym się do tej pracy. „Nie zdawałem sobie sprawy z tego – powtórzył ks. Prałat jeszcze raz – że pływam po topielisku”. Trafne, plastyczne porównanie, ale zarazem bardzo dramatyczne słowa.

Dużą pomoc tak moralną, jak i finansową przy budowie kościoła – powiedział ks. Prałat – okazał mi ks. prał. dr Ludwik Kowalski. Jego następcą ks. prał. Józef Poręba też mnie wspomagał, ale musiał dbać również o inwestycje w swojej parafii. Dużą pomoc przy budowie kościoła i plebanii okazywali tu-tejsi mieszkańcy – parafianie, bo chcieli mieć – jak wyraził się jeden z mieszkańców Sowlin – jedną, wspólną, wydeptaną ścieżkę, prowadzącą do kościoła i księży. Na zakończenie rozmowy ks. Prałat powiedział: „Opatrzność Boża, która nas nie opuszczała i błogosławiła powstającemu dziełu i dobra wola ludzi, która nam towarzyszyła od początku: mężczyźni, którzy pracowali na budowie i kobiety, które żywiły (np. przy wylewaniu płyty w ciągu jednego dnia pracowało ponad 200 osób, które trzeba było wyżywić), dopomogły do zbudowania kościoła”. Ta wypowiedź harmonizuje z następną: Ks. kanonik Jan Rachwał powtarzał mi wielokrotnie przy różnych okazjach – powiedział mi ks. prał. Jan Bukowiec – że jest to kościół Opatrzności Bożej. Obraz o takiej treści, który ks. Rachwał przekazał do drewnianej kaplicy, został odnowiony przez p. Szubryta i wisi obecnie nad wejściem do zakrystii kościoła górnego.

(ciąg dalszy na stronie 26)

Wspomnienie o doktorze Stanisławie Dyczku

*Nie umiera Ten,
kto trwa w pamięci żywych*

Rys biograficzny

Doktor Stanisław Dyczek urodził się 28 marca 1927 r. w Sowlinach (dzielnica Limanowej), tu ukończył szkołę powszechną, a w 1949 r. Liceum Ogólnokształcące. Studiował stomatologię w Krakowie, a po studiach, bardzo związany ze swoją małą ojczyzną, powrócił do rodzinnego miasta i tu założył rodzinę, zbudował dom i pracował jako wybitny lekarz stomatolog. Zmarł w wieku 89 lat 15 kwietnia 2016 r. w Limanowej.

Ostatnie pożegnanie

Uroczystości pogrzebowe odbyły się 18 kwietnia w bazylice limanowskiej. Mszę św. żałobną odprawił ks. prał. Józef Poręba, który w kazaniu mówił o dobroci i szlachetności świętej pamięci Stanisława Dyczka. Podczas Mszy św. uczestnicy mogli wysłuchać utworu pożegnalnego na skrzypce *Jana Sebastiana Bacha, Andante z II Sonaty a-moll* w wykonaniu dr. Marka Polańskiego z Krakowa. Potem nastąpiło odprowadzenie Zmarłego na miejsce wiecznego spoczynku na cmentarzu komunalnym w Limanowej, gdzie żegnali Go: Żona Maria i Córki: Sonia i Renata, Brat, Bratowa z Rodziną, Rodzina Władysława Biedy, pozostali krewni, koledzy, sąsiedzi, znajomi i inni. W imieniu Rodziny w gorących słowach, dziękując Księżom za posługę, wiernym za udział oraz za wszystko dobro i wzorowe wychowanie swoje i siostry w wierze katolickiej, pożegnała Ojca córka dr Sonia Dyczek.

Wprowadzenie do wspomnienia

Moje wspomnienie o dr. Stanisławie Dyczku, które powstało z potrzeby serca, to obrazy z życia wybitnego lekarza, epizody, wybrane z szeregu rozmów, które prowadziłem z Doktorem jako uczeń, dorastający młodzieniec, a później, gdy przyjechałem z Krakowa do Limanowej jako student, a w końcu jako mieszkaniec Krakowa, by leczyć się u Niego, bo uważałem, że lepszego dentysty nie ma na świecie. Także moja rodzina (żona, córki i ich kuzyni) leczyła się u dr. Dyczka.

Od Doktora powracaliśmy podbudowani i radośni. Można było do Niego pójść o każdej porze, gdy była tylko potrzeba, zawsze służył swoją pomocą natychmiast, a gdy był zajęty, ustalał najbliższy termin wizyty.

Pan dr Stanisław Dyczek, legenda limanowskiej stomatologii, szanowany przez ludzi, był dla nas sąsiadów nie tylko dentystą, którego – my dzieci – nie baliśmy się wcale, ponieważ miał do nas podejście pełne kultury, ale także znany był z tego, że na wielu polach wiedzy posiadał ogromne kompetencje, dlatego chętnie przychodziliśmy do Niego, by się czegoś nowego od Niego dowiedzieć i nauczyć. Opowiadał nam o historii, często sprawdzając naszą wiedzę z tego zakresu. Miał rozległą wiedzę medyczną, co rozumiałe, ale także techniczną, z zakresu kultury, filozoficzną i filologiczną. To od dr. Stanisława Dyczka dowiedziałem się, o co tak naprawdę chodziło Stanisławowi Wyspiańskiemu w „Weselu”. Nadmienię tylko, że na egzaminie wstępnym na germanistykę z języka polskiego byłem pytany o „Wesele” i pewne wątki myślowe, które omówiliśmy z dr. Dyczkiem, mogłem zaprezentować podczas egzaminu. Przy okazji corocznych sobótek, na które zapraszani byliśmy przez sąsiadów, mieszkających powyżej tzw. sztreki (z j. niemieckiego *Strecke* – szlak, droga kolejowa), czyli torów kolejowych oraz Majówek (nabożeństw majowych przy kapliczce), na których Doktor bywał, gdzie gromadziły i gromadzą się rodziny pp. Twarogów, Musiałów, Jabruckich, Mamaków, Banasiów, Szewczyków, Kitów, Biedroniów, Wierzyckich i innych), toczyliśmy (przed czy po Majówce) gorące dyskusje o Polsce i Polakach, o polskiej racji stanu, o patriotyzmie, kondycji polskiego społeczeństwa tak wczoraj, jak i dziś. Potępiał przywary i wady Polaków, jak pijaństwo, pieniactwo, gadatliwość, zapalczywość, czupurność itp.

Wracając pamięcią

O ile dobrze pamiętam, moje pierwsze zetknięcie się z dr. Dyczkiem miało miejsce pod koniec lat 50. XX w., gdy



Stanisław Dyczek (1927-2016)

naprzeciwko naszego domu, po drugiej stronie (obecnej ul. J. Żuławskiego), dr Dyczek budował dom i po pracy przyjeżdżał na swoją działkę motorem (marki BMW), co mnie jako chłopcu (zarówno jazda na motorze, jak i sam motor) bardzo imponowało. Miałem wówczas 5 lub 6 lat i przyglądałem się, jak z dnia na dzień rośnie piękny dom odrębny od naszego. Podobał mi się bardzo, ale nie wiedziałem, w jakiej konwencji stylistycznej został zbudowany. Po latach, w 5 czy 6 klasie szkoły podstawowej nauczycielka na lekcji geografii wspomniała dom pp. Dyczków i określiła go mianem „stylu zakopiańskiego”. Wówczas określenie to przyjąłem i tak też przez lata całe z taką wiedzą żyłem. Dziś określiłbym go nieco inaczej, co zresztą zrobiłem w jednym z odcinków o architekturze Limanowej („Almanach Ziemi Limanowskiej”, nr 17/2004, s. 26).

Gdy dr Dyczek zamieszkał wraz ze swoją żoną Marią, niezwykle szlachetną i oddaną Mu osobą w nowo zbudowanym domu i powstał wokół niego piękny ogród, dom nabrał charakteru



Przed maturą. Stanisław Dyczek siedzi pierwszy z lewej. Pośrodku stoi prof. Eugenia Naturska - 1949 rok.

willi w otoczeniu ogrodowym, gdzie przed fasadą od strony (dzisiejszej ul. Piłsudskiego) rosły świerki, kwiaty, a zielona murawa ogrodu pokryła się dywanem stokrotek. To samosiejki (podkreślała wielokrotnie Pani Doktorowa Dyczkowa), które jakby zasiały się tutaj po to między innymi, by złożyć *stokrotne dzięki*, za to wszystko, co uczynili Doktor i Doktorowa dla sąsiadów i ludzi, którym pomagali i wciąż pomagają. Z czasem dom państwa Dyczków został ogrodzony i nie było do niego bezpośredniego dostępu. Gdy Państwo Dyczkowie wychodzili z domu, zamykali bramkę na klucz. Pewnego pięknego, niedzielnego przedpołudnia wpadła nam (grającym chłopcom) piłka za siatkę. Zastanawialiśmy się, co robić, czekać, gdy wrócą gospodarze, ale ile można czekać (człowiek młody – w gorącej wodzie kąpany – nie lubi czekać). Zdecydowaliśmy się więc przeskoczyć siatkę i piłkę (przyczynę całego zamieszania) wyciągnąć. Nagle wszyscy czterej znaleźliśmy się za siatką (zaczęły się zawody, który pierwszy piłkę wyciągnie). Z zawodów zrobiła się przysłowiowa kopanina, żwawo zaczęliśmy gonić za piłką. W tym momencie, gdy myśleliśmy tylko o grze, przed bramą pojawili się gospodarze, wracający z kościoła. Dopiero wówczas uzmysłowiliśmy sobie, że postąpiliśmy źle. Gdy po latach oceniam tę sytuację i nasze zachowanie, uważam, że należała się nam reprimenda. Ze strony gospodarzy nie było ani jednego słowa pouczeń, nawet wzrok czy wyraz twarzy nie mówiły o tym. Ale to wystarczyło, by ta cicha,

milcząca edukacja – lekcja udzielona młodemu chłopcom – pozostała na całe życie. Nigdy potem, mając piłkę do gry, za płotem już się nie znaleźliśmy.

W ogrodzie Państwa Dyczków rosły (i rosną po dziś dzień) piękne drzewa owocowe, ale także i krzewy porzeczek (w większości porzeczek czarnej), na zbiór których dr Dyczek ze swoją Żoną zapraszali najbliższych sąsiadów i dzieci. Po dokonanej zbiórce odwoziliśmy zakontraktowaną porzeczkę, posortowaną w skrzynkach, do skupu na ul. Józefa Marka. Chętnie pomagaliśmy w tej pracy, a dr Dyczek, rozmawiając z nami, zwracał uwagę na nasze zęby, zgryz itp. Gdy zauważył jakieś nieprawidłowości, zapraszał dziecko z rodzicem do swojego gabinetu. Wielu dzieciom uratował zęby, gdyż jego dewizą życiową było leczenie, a tylko w ostateczności usuwanie zębów, czego zresztą bardzo unikał. To był stomatolog całą gębą, jeśli można się tak wyrazić, z pełną kulturą, którą szerzył w Limanowej (w szpitalu, w LO, gdzie pracował, a asystentką była wielce Mu zasłużona p. Rozalia Pajor) i w regionie (np. w Tymbarku, gdzie był też swego czasu zatrudniony).

Anegdoty, legendy i powiedzenia

Doktor opowiadał nam liczne anegdoty i legendy, a w legendach – jak wiemy – jest dużo prawdy, dlatego jedną z nich chciałbym tutaj przytoczyć, gdyż wiąże się z moim zawodem germanisty i historyka sztuki. Otóż – mówił dr

Dyczek – powszechna wiedza ludzi na temat, skąd pochodzi nazwa Tymbark, jest następująca. Jeszcze do niedawna istniało przekonanie, że nazwa pochodzi od poczęstunku, którego użyczyła okoliczna ludność królowi Janowi III Sobieskiemu, który powracając spod Wiednia po zwycięskiej bitwie w roku 1683, był raczony napojami z tego i tamtego „barku”, a skoro w *tym-barku* napoje były wyborne (takie są i dzisiaj), powstała nazwa Tymbarku (naturalnie nie ta epoka i trzeba to między bajki włożyć; jest to jedna z ludowych prób wywiedzenia nazwy miejscowości). Kiedyś, gdy byłem u dr. Dyczka, spytał mnie wprost, czy wiem, co to znaczy Tannenberg. Naturalnie, że wiedziałem, byłem przecież studentem germanistyki, skinałem więc głową, ale odpowiedzieć nie mogłem, gdyż miałem usta zapchane wacikami i tamponami, więc dr Dyczek odpowiedział za mnie. *Panie Józiu, Tannenberg to Jodłowa Góra*. Była to prawda i zarazem inspiracja, by w źródłach i literaturze fachowej szukać czegoś więcej na ten temat. W książce Tadeusza Dobrowolskiego pt.: *Sztuka Krakowa* na str. 120 znalazłem taki oto *passus*: Gdy rodził się Tymbark, są to „czasy Kazimierza Wielkiego i jego nadwornego rzeźbiarza, syna Alpodryka, Kunada, którego król w dokumencie z r. 1353 nazywa >> swoim wiernym rzeźbiarzem <<, zleca mu lokację nowej osady nad rzeką Łososiną oraz nagradza dziedzicznym wójtostwem w Jodłowej Górze”¹. A czymże jest ta Jodłowa Góra, jak nie Tannenbergiem, zeswojszczonym po latach Tymbarkiem. Warto jeszcze dodać, że ów rzeźbiarz wykonał zworniki w prezbiterium katedry wawelskiej, a prawdopodobnie jego dziełem jest także kamienna, polichromowana tumba w katedrze, z leżącą postacią zmarłego króla Władysława Łokietka, z „płaczkami” na jej ścianach, wykonana na polecenie jego syna Kazimierza Wielkiego². Jedną z legend, którą też chcę opowiedzieć za dr. Dyckiem, łączy się również z Tymbarkiem. Niedaleko „królewskiego niegdyś miasteczka Tymbark” wznosi się góra Żezów. Skąd wzięła się nazwa owej góry? Otóż, dr Dyczek opowiadał, że Tymbark zasiedlali ludzie pochodzący z Niemiec (o czym mówią jeszcze dzisiaj nazwiska wielu mieszkańców tej miejscowości). Ich przodkowie, tęskniąc bardzo za swoją ojczyzną, wychodzili na ową górę, by chociażby z oddali popatrzeć i potęsknić za stronami ojczystymi. Ową

► górę nazwali więc w swym języku górą tęsknoty lub tęskną górą, stąd Zęzów, ponieważ po niemiecku tęsknota to Sehnsucht (czyt. zenzucht) za czymś, do czegoś. Czy ta historia nie pobudza do refleksji, jak język przechowuje przez wieki całe stare tradycje i nazwy? Takich legendarnych opowieści ze strony dr. Dyczka było znacznie więcej, ale nie czas tutaj na nie.

Dr Dyczek miał szereg oryginalnych powiedzeń. Kiedyś pod koniec wakacji, gdy nasze dzieci odwiedziły jego gabinet, by przed rozpoczęciem roku szkolnego uregulować sprawy dentystyczne, zapytał je mimochodem: *Wkrótce zaczyna się szkoła. Cieszyście się panienki z tego powodu? Gdy zapadła głucha cisza, zapytał ponownie, ale zdecydowanie: Kara boska, nie cieszyście się?* Gdy opowiadał o pewnym znanym przywódcy rewolucyjnym, który w pewnym momencie życia dostał się do więzienia, stwierdził: *Widzisz Pan, zwracając się do mnie: przepięknie sobie w... siedział.* Te barwne powiedzenia sprawiały, że człowiek wokół tego budował narrację i fakty te pozostawały na dłużej w pamięci.

Edukacja poprzez sąsiedzką pomoc

Często moje siostry, a następnie ja i moi bracia jeździliśmy chętnie do Nowego Sącza po tzw. materiał dentystyczny na ul. Jagiellońską czy Tatrzańską. Lubiliśmy tam jeździć, gdyż lubię to miasto, dlatego spotkanie z Nowym Sączem było dla mnie za każdym razem w pewnym stopniu wyróżnieniem (mogłem tam też kupić czasopismo „Polen”, które regularnie czytałem), a poza tym oswajałem się z większym miastem, co dawało możliwość większego obycia w świecie. Poza tym, jadąc koleją tzw. ciuchcią, mogłem spokojnie pouczyć się np. niemieckiego czy odrobić jakieś zadanie. Często też spotykałem w podróży ciekawych ludzi, z którymi toczyłem rozmowy. Przy okazji pobytu w Nowym Sączu, gdy czas na to pozwalał, odwiedzałem moją ciocię-babcie Zosię, a także zwiedzałem zażytki królewskiego miasta. To miasto zawsze mi imponowało swoją historią i sztuką, a wiedza ta przydała mi się po latach, gdy przez kilka semestrów pracowałem jako historyk sztuki w Nowym Sączu, prowadząc zajęcia z tego przedmiotu w Wyższej Szkole Zawodowej. Odbierając pewnego razu tzw. przesyłkę

z ul. Tatrzańskiej, gospodarz pięknej willi zwrócił się do mnie z następującymi słowami: *Proszę Pana, proszę to przekazać dr. Dyczkowi.* Po raz pierwszy zwrócił się ktoś do mnie *per pan*. Przeżywałem to bardzo, bo nie miałem jeszcze 18 lat i zastanawiałem się, czy jestem już na tyle dorosły, by zwracać się do mnie w ten sposób? Ale gdy wróciłem do Limanowej i Pani Doktorowa Dyczkowa, dziękując za przesyłkę, zwróciła się do mnie podobnie, dodając jednak do pan imię: *Dziękujemy Panie Józiu,* zaakceptowałem to całkowicie i tak pozostało już do dziś.

Długie Polaków rozmowy...

Z panem dr. Dyczkiem toczyłem często długie rozmowy, a wiadomo: rozmowy kształcą. Naturalnie, jako dorastający chłopiec byłem pytany o historię, co mobilizowało mnie do powtórek z tego przedmiotu. Nigdy nie było wiadomo, o co Doktor zapyta, ale wiedział, kogo o co zapytać. Pytał więc o Wielką Rewolucję Francuską, o Piastów, Jagiellonów i Wazów, o historię naszego miasta, ale często także o historię Niemiec (np. o znaczenie kolorów na fladze niemieckiej, o literaturę niemiecką, cytując fragmenty wierszy). Często opowiadał o swoim ojcu Józefie, z zawodu destylatorze, którego podziwiał za to, że miał odwagę pojechać do Meksyku, gdy wszyscy inni wyjeżdżali do Ameryki. Niewiele wówczas o Meksyku wiedziałem. Po rozmowie z dr. Dyczkiem musiałem zweryfikować swoje wiadomości, gdyż wydawało mi się, że Meksyk leży w Ameryce Środkowej, a od dr. Dyczka dowiedziałem się, że leży w południowej części Ameryki Północnej. Dowiedziałem się wówczas również o niezwykłym rozwoju ekonomiczno-gospodarczym tego kraju na przełomie XIX i XX wieku. „Ojciec – mówił dr Dyczek – gdy wrócił z Meksyku, był doświadczonym człowiekiem. Próbował wprowadzać podpatrzone nowinki i rozwiązania administracyjne i społeczne, pełniąc w Sowlinach ważną funkcję”. Często wracał myślami do pobytu ojca w Meksyku i żałował, że nie pozostał tam dłużej, ale zaraz korygował swój pogląd, mówiąc: „Przecież był Polakiem i chciał służyć odradzającej się Polsce”. Wspominał swoją babcie, która żyjąc na pograniczu dwóch kultur i dwóch wyznań; ewangelickiej i katolickiej, umiała w sobie właściwy sposób bronić polskości i wiary katolickiej. Wspominał mamę Marię z Sułkowskich (jej brat Józef był radcą

dworu cesarskiego w Wiedniu i umożliwił tam pożyczkę na budowę kościoła w Limanowej). Wspominał wcześniej zmarłego, nieodżałowanego brata Józefa, a ponadto opowiadał o bracie Ludwiku, siostrze Marii i jej mężu Władysławie Lubeckim. Zew krwi kazał Mu mówić też o Wiesławie Ochmanie, wybitnym polskim tenorze, z którym był spokrewniony. Z dr. Dyczkiem rozmawiałem dosłownie o wszystkim (m.in. o lekturach, które były w PRL na tzw. indeksie), także o onomastyce, czyli o nazwiskach (np. o dr Oldze Hirsch-Dyczek, z którą na UJ miałem sztukę antyczną i pytałem Doktora, czy to przypadkiem nie rodzina). Zwracał mi uwagę na to, że jego nazwisko jest bardzo podobne do nazwiska wybitnego flamandzkiego malarza van Dycka (podobieństwo jest zaiste tożsame). To król Władysław IV Waza – mówili pp. Dyczkowie – sprowadził Holendrów i Flamandów do Polski. Dr Dyczek wracał często wspomnieniami do ciężkich czasów okupacji niemieckiej. Ponieważ pracował (jako chłopiec w byłej rafinerii nafty w Sowlinach), a więc był posiadaczem tzw. Arbeitskarte, chroniła Go ona przed wywózką „na roboty” do Niemiec.

Pasje i życzliwość do drugiego człowieka

Dr Dyczek to umysł analityczny o wielu pasjach. Gdy kupił sobie samochód marki „Trabant” i po jakimś czasie trzeba było dokonać jego naprawy, zaangażował swojego młodszego brata Zbigniewa i razem zaczęli „Trabanta” rozbierać na „czynniki pierwsze”. Rozebrali go co do jednej śrubki, a następnie złożyli (pod okiem podziwiającego ich robotę fachowca), co dla mnie było już wyczynem nie byle jakim, o którym i dziś myślę z podziwem. Po złożeniu „Trabanta” odbyła się jazda próbna. Brat siedział po lewej stronie z tyłu za kierowcą, a ja z prawej strony (ode mnie niewiele zależało) i tak komunikowaliśmy kierowcę, czy coś za nami nie jedzie. Tak dojechaliśmy do skrzyżowania w Sowlinach i wróciliśmy po jakimś czasie do domu. Potem były i dłuższe i dalsze jazdy ćwiczebne. Często dr Dyczek zabierał swoje córki i dzieci sąsiadów, by uczyć je pływać, gdy woda w rzece Sowlince czy Łososince była jeszcze w miarę czysta.

Był dobrym sąsiadem, a w dodatku posiadał wówczas jako jedyny na naszym

osiedlu (przy dzisiejszej ul. Żuławskiego) telefon. Telefon był bardzo przydatny, szczególnie w sytuacjach awaryjnych (pożarów, powodzi i innych), a ponieważ pp. Dyczkowie byli bardzo uczynni, życzliwi i otwarci na potrzeby ludzkie, każdy mógł z niego skorzystać. Pamiętam, gdy w jedno niedzielne popołudnie od iskry przejeżdżającego pociągu zajął się dom, a następnie zagroda pp. Mamaków, w wielkim niebezpieczeństwie było pobliskie osiedle. Z telefonu pp. Dyczków poinformowana została o tym straż pożarna (w Limanowej, Nowym Sączu i innych miejscowościach). Pan dr Dyczek przejął się tą dramatyczną sytuacją tak bardzo, że niemal sam kierował akcją strażacką, by przyspieszyć gaszenie pożaru. Przeżywał każde nietaktowne i niekulturalne zachowania kogokolwiek. Wielce był zaniepokojony obcesowym potraktowaniem bp. Jerzego Ablewicza, Ordynariusza Tarnowskiego, którego władza limanowska (z polecenia na pewno wyższych instancji) nie wpuściła do szpitala, gdy chciał złożyć wizytę chorym. Sam relacjonowałem Mu te zajścia, bowiem prosił mnie, bym pobiegł do p. Anieli Sułkowskiej – mojej ciotki, która pracowała wówczas w szpitalu i o całym zajściu była dobrze poinformowana. Nie chciał wprost uwierzyć, że do czegoś takiego mogło dojść. Pamiętam, jak ścisłym głosem zapytał retorycznie: *Czy oni mają sumienie?*

Sąsiedzkie odwiedziny i wizyta w Krakowie

Często wieczorami przychodził dr Dyczek do moich rodziców na sąsiedzką pogawędkę. Ceniła te rozmowy (w porze wakacji) też moja teściowa śp. Karolina Jałoszewska (1921–2016), która po jednej z takich wizyt powiedziała do mnie: *Co to za mądry człowiek ten Wasz Sąsiad*. Lubiłem, gdy składał wizytę, bo zawsze można się było od Niego dowiedzieć czegoś nowego. Często wędrowaliśmy (ja i mój brat Zbigniew) z Doktorem, gdy miał jakieś ważne sprawy do załatwienia, wówczas towarzyszyliśmy Mu w tych piechotnych wędrówkach (w ten sposób byliśmy w wielu limanowskich domach). Gdy byłem w I klasie LO, dr Dyczek po rozmowie z rodzicami zaproponował mi wyjazd z nim do Krakowa. Wjeżdżając do miasta od strony Wawelu, największe wrażenie zrobiło na mnie warowne otoczenie wzgórza wawelskiego.

Byłem wprawdzie kilka lat wcześniej w Krakowie z wycieczką szkolną (także na Wawelu), ale tym razem mogłem zobaczyć kamienicę krakowską w centrum miasta (uderzył mnie jej miły zapach i ciekawa terakota na ścianach klatki schodowej) i poznać w niej mieszkanie (byliśmy chyba u pp. Szewczyków). W jednym z pokoi stało duże akwarium, jakiego nigdy wcześniej ani później w żadnym mieszkaniu już nie oglądałem. Ja podziwiałem ryby, a gospodarz rozmawiał z dr. Dyczkiem. Potem pojechaliśmy do Miasteczka Studenckiego, gdzie mieszkała moja siostra Danusia, studentka rusycystyki, a gdzie mogłem poznać zgoła inny Kraków – modernistyczny. Jak widać, podróże kształcą.

Przykłady, jak wybitnym był stomatologiem

Jak ważnym i dobrym stomatologiem był dr Dyczek niech posłużą przykłady, o których wspominała moja siostra Alicja, która wraz z mężem Andrzejem Łuką i córką Moniczką przyjeżdżała z Zurychu w Szwajcarii do Państwa Dyczków leczyć zęby. Pan dr Dyczek bardzo lubił dzieci. Ich córka była jeszcze mała, więc miała zdrowe ząbki, ale gdy tylko pojawiła się w ogrodzie u Państwa Dyczków, pan Doktor szedł kupować gumy do żucia i lizaki, aby poczęstować wszystkie dzieci, które przyszły razem z nią. Również nasza Mamusia Genowefa Wronowa (1928–2015), mieszkając u nas w Zurychu – podkreśliła siostra Alicja – przyjeżdżała do pp. Dyczków leczyć zęby i ostatnimi czasy, gdy p. dr Dyczek zrobił Jej nowe koronki, po powrocie do Zurychu zrobiła prawdziwą karierę swoim uśmiechem. Fachowe i umiejętne podejście dr. Dyczka do pacjenta sprawiały, że leczyła się u Niego niemal cała elita limanowska. Bywali u Doktora księża limanowscy, bp Piotr Bednarczyk, lekarze, jak np. dr Stanisław Joniec, profesorowie Józef Zboś, Tadeusz i Stanisław Ociepkowie (z rodzinami) i wielu innych. Nawet z daleka przyjeżdżali ludzie, by się u Niego leczyć. Dr Dyczek miał szacunek dla munduru, dla wojska. Cenił bardzo mojego szwagra płk. Czesława Lebde, zawodowego oficera Wojska Polskiego, który służył Mu pomocą i wsparciem, gdy pan dr Dyczek już chorował. Cenił ludzi bardzo za obowiązkowość i solidność, dlatego tak bardzo cenił pracę p. Anny Golińskiej. Żył w dobrych stosunkach sąsiedzkich, służąc im pomocą i oni pomagali Jemu,

gdy zachodziła taka potrzeba. Interesował się Limanową i jej historią. Wraz z Żoną Marią śledzili limanowską prasę i ją komentowali. Podobał Im się bardzo cykl o ulicach Limanowej, drukowany w „Echu Limanowskim”, a w szczególności artykuł o bohaterze ul. Orkana.

Zakończenie

Odszedł od nas człowiek, który leczył, pomagał, mobilizował, inspirował i zmuszał do myślenia, a to było bardzo cenne, gdyż – jak wiadomo – *nie samym chlebem żyje człowiek*. W rodzinie człowiek realizuje się znacznie lepiej, tym bardziej gdy ma od niej wsparcie. Pani Maria Dyczek, człowiek zacny i dobry, wykształcony pedagog, pozostawiła zdobyty zawód i poświęciła się rodzinie i pomocy mężowi w jego pracy zawodowej, będąc tak naprawdę „prawą ręką” męża, który wzorowo prowadził gabinet stomatologiczny. Bardzo szybko opanowała tajniki wiedzy stomatologicznej, pełniąc rolę asystentki i w całej Jego karierze lekarskiej była podporą (zawsze przy Jego boku) jako żona i matka wspianiałych dwóch córek. Obydwie odziedziczyły talent medyczny po rodzicach i ukończyły: Sonia, studia medyczne i doktorat w tym zakresie, Renata studia farmaceutyczne – mgr farmacji. Pracując w swoich zawodach, tak jak Ojciec i Matka, pomagają chorym, nie oszczędzając swych sił. Żona, córki, rodzina, sąsiedzi i znajomi pielęgnować będą pamięć o Zmarłym śp. Stanisławie Dyczku, zachowując wspomnienia, które wryły się głęboko w ich pamięć, ukazując choćby w okruszkach życie dobrego i wspianiałego człowieka oraz wielkiego patrioty, bo swoim życiem na to sobie całkowicie zasłużył. Człowiek odchodzi, ale pamięć o nim pozostaje, bo nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych. Dr Dyczek żyć będzie w opowiadaniach, legendach, sam był chodzącą legendą, żyje też w tym krótkim, indywidualnym wspomnieniu, które jest zarazem podziękowaniem za dobrosąsiedzkie stosunki i wszelką pomoc, jaką od dr. Dyczka – człowieka światłego, o bogatej osobowości, niezwykłym poczuciu humoru, szerokich horyzontach myślowych i czułym sercu doznałem ja i moja rodzina. Cześć Jego pamięci.

Józef Szymon Wroński

¹ T. Dobrowolski, *Sztuka Krakowa*, Kraków 1978, s. 120.

² Tamże, s. 122.

Zasłużony obywatel Limanowej – Leon Hermenegildus Żuławski

Wiosenne popołudnie 14 kwietnia 2016 r. dedykowane zostało jednemu z najstarszych znanych przodków rodu Żuławskich w Limanowej – Leonowi Hermenegildusowi Żuławskiemu.

Spotkanie zatytułowane: *Muzy i Medycyna – artyści i lekarze z rodziny Żuławskich* przygotowane zostało przez Muzeum Regionalne Ziemi Limanowskiej pod honorowym patronatem Biblioteki Jagiellońskiej.

W tym dniu zaproszeni goście mogli uczestniczyć w bogatym programie, na który składało się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej poświęconej dr Leonowi H. Żuławskiemu wmurowanej na kamienicy przy rynku miasta.

Tablicę pamiątkową w brązie wykonał krakowski odlewnik Dominik Rachwał według projektu praprawnuka Jacka Żuławskiego. Na tablicy znajduje się wizerunek Leona H. Żuławskiego oraz napis: *W tym miejscu mieszkał w latach 1843 – 1869 dr med. Leon Żuławski, lekarz rządowy, pisarz, piewca Limanowszczyzny, zasłużony obywatel Limanowej. W dwusetną rocznicę jego urodzin – Burmistrz i Rada Miasta Limanowej. 14 IV 2016.*

Następnie w salach Muzeum otwarto wystawę czasową (do 14 maja), która ukazuje dzieje rodu Żuławskich od ich przybycia na Limanowszczyznę, aż do czasów I wojny światowej. Powstała ona w oparciu o pomoc i zbiory potomków rodziny Żuławskich, Muzeum Narodowego w Krakowie, Biblioteki Polskiej Akademii Umiejętności, Muzeum Historii Literatury im. A. Mickiewicza w Warszawie, Biblioteki Jagiellońskiej, Starostwa Powiatowego w Limanowej, Parafii pw. św. Stanisława BM i św. Barbary w Szyku.

Z kolei zaprezentowano w sali konferencyjnej fotografie i pamiątki rodziny Żuławskich.

Leon Hermenegildus Żuławski przybył do Limanowej w 1843 r. i zamieszkał po wschodniej stronie pierzei rynku. Przebywał w naszym mieście przez 25 lat, aż do śmierci w 1869 r. i prawdopodobnie pochowany został na cmentarzu przy drewnianym kościele, który rozebrano w 1911 r., aby przygotować plac pod budowę nowego murowanego kościoła współcześnie stojącego. Szczątki z tego cmentarza ekshumowano i przeniesiono na nowy cmentarz parafialny. Niestety mogiła Leona H. Żuławskiego nie zachowała się.

O Leonie Żuławskim pisał Jan Sitowski, właściciel majątku i dworu w Mordarce, w publikacji: *„Wspomnienia limanowskie i staro-sądeckie”*, wydane w Mordarce w 1916 r. W jego wspomnieniach czytamy: *Powinności lekarza rządowego w Limanowej pełnił Saganowski. Dr Leon Żuławski był praktykującym lekarzem, ponieważ miał sparaliżowane obydwie nogi, przeto do pacjentów wożono go na specjalnym fotelu. Posiadał ładny dom pod nr 15 w rynku z dużym ogrodem. Realność tę sprzedał jego syn dr Karol Żuławski.*



Tablica pamiątkowa poświęcona dr. Leonowi Żuławskiemu na kamienicy przy rynku w Limanowej - 15 kwietnia 2016 roku.

Zachował się także rysunek Józefa Kurtycza (znany nauczyciel w Limanowej), który prezentuje układ budynków z 1875 roku po wschodniej stronie limanowskiego rynku (ku Mordarce) z opisem kto w kolejnych domach zamieszkiwał. Z opisu tego wynika, iż dom Żuławskiego (Żułka) był trzecim od strony prawej, gdzie stała w ówczesnych latach kamienica sądu. Na „starych murach” tego sądu w latach międzywojennych powstała kamienica Marcelego Bursztyna, burmistrza Limanowej. W późniejszych czasach przejął tę kamienicę zięć Bursztyna Teodor Smolawa, (mąż Ireny Bursztynówny). W latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia budynek ten nabyła Gminna Spółdzielnia w Limanowej. Na tej właśnie kamienicy współcześnie została wmurowana pamiątkowa tablica Leona H. Żuławskiego.

Sam Leon Żuławski w swoim poemacie *„Obrona Limanowy czyli rzeź galicyjska 1846”* wskazuje na miejsce zamieszkania w Limanowej, pisząc: *W rynku pod czterema dachami się mieści/ Domków wokoło niziutkich z trzydzieści/ Z dachem osobne dwie karczmy i szkoła/ I kamienica i dom u kościoła.*

Zajmowana przez rodzinę Żuławskich nieruchomość była jedną z większych po tej stronie limanowskiego rynku. Była to parcela o powierzchni około 2500 m². Dom Leona

i Karoliny Żuławskich był drewniany, cofnięty nieco poza pierzeję rynku ku ogrodowi. Do posiadłości Żuławskich od strony rynku dochodziło się przez sień w pierzei.

Leon Hermenegildus Żuławski urodził się 14 kwietnia 1816 r. w Łukowicy i tam spędził pierwsze lata życia.

Ojciec Wojciech Florian Żuławski pochodził z Szyku, matka Helena Odrowąż Pieniążek z Łukowicy. Małżeństwo Żuławskich miało trzech synów: Juliusza Ludwika (1814-1858), Leona Hermenegildusa (1816 – 1869) i Walerego Wincentego (1822-1823). Leon stracił matkę gdy miał 7 lat. Ojciec ożenił się po raz drugi z Amalią Reklewską z Szyku. Z tego małżeństwa było pięcioro dzieci: Waleria, Bartłomiej Ludwik, Franciszek, Marianna, Wilhelm Antoni.

Kiedy ojciec ożenił się po raz drugi, Leon wychowywał się w dworku, najpierw w Szyku, później w Starym Rybiu. Tam upłynęły mu końcowe lata dzieciństwa, jak również pierwsze lata nauki w domu, być może i w szkole w Limanowej. Leon w żadnym z ocalałych utworów nie wspomina dzieciństwa.

W jedenastym roku życia rozpoczyna naukę w Nowym Sączu i zamieszkuje „na stacji”. Prawdopodobnie uczył się w Gimnazjum i Liceum im. Jana Długosza w latach 1827-1833. Był on obdarzony zarówno talentem pisarskim, jak i zdolnościami do sztuki medycznej. Postanowił zostać lekarzem. Aby swoje marzenia zrealizować, musiał podjąć dalszą naukę na Uniwersytecie Lwowskim na łącińskim Studium Filozoficznym, którego ukończenie uprawniało do wstępu na wydział lekarski na Uniwersytecie Austriackim. Studia 19-letni Leon Hermenegildus Żuławski podjął w Wiedniu. Były to czteroletnie studia medyczne i czteroletnie studia doktorskie. Fakt ten odnotowany jest w jego rękopisie „Excerpta”.

W Wiedniu poznał Karolinę Henriettę Ekan (1819-1911). W styczniu 1842 roku w Wiedniu urodził się pierwszy jego syn Wojciech, a związek rodziców Wojciecha został pobłogosławiony 30 maja 1843 roku w parafii w Bielsku-Białej, skąd pochodziła żona Karolina. W tym samym roku młode małżeństwo przybywa do Limanowej, dokonując zakupu domu w rynku.

Jego ojciec Wojciech w spisanim testamencie podzielił majątek ziemski w Szyku między troje dzieci z drugiego małżeństwa, a synom Juliuszowi i Leonowi pozostawił po 1031 florenów polskich.

Należy również wspomnieć, że brat Leona, Juliusz Ludwik ożenił się z Marianną Laskiewicz z Młynnego, które to małżeństwo miało ośmioro dzieci, spośród których pierwszy syn Kazimierz (1847-1922), był postacią bardzo zaangażowaną w Limanowej. Uczestniczył w powstaniu styczniowym, był jednym z założycieli gniazda limanowskiego „Sokoła”, którego został pierwszym prezesem. Ożeniony z Józefą Gośławską, otwiera poczet artystów i literatów w rodzie Żuławskich, którzy zamieszkiwali w dworku „Słomiana” w Młynnem.

Najbardziej znaną postacią z tej linii Żuławskich jest syn Kazimierza i Józefy, Jerzy – filozof, pisarz, poeta, dramaturg, publicysta, dziennikarz, oficer Legionów Polskich, taternik.

Wróćmy do biografii Leona H. Żuławskiego. Po ukończeniu studiów medycznych początkowo przez pół roku praktykował w Wiedniu. Nadwątłone zdrowie jak i pobudki polityczne zmusiły go do powrotu w rodzinne strony. Można przypuszczać, iż tymi „pobudkami politycznymi” było zaangażowanie polityczne w czasach studenckich oraz obawa Żuławskiego co do jego przyszłości w Wiedniu. Lęk przed odpowiedzialnością za pewne czyny i przed inwigilowaniem przez policję stał się decydującą przyczyną opuszczenia Wiednia i zasycia



Usytuowanie budynków wzdłuż wschodniej pierzei limanowskiego rynku (stan z 1875 roku). Rysunek wykonany przez Józefa Kurtycza.

Zdjęcia Kazimierza Żuławskiego i jego żony Józefy z domu Gosławskiej

Ze zbiorów Agnieszki Umedy-Żuławskiej



Fragment wystawy pamiątek rodziny Żuławskich w Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej.

► się w małej miejscowości galicyjskiej, Limanowej, a nie w Krakowie gdzie wiedeńskie studia i doktorat otwierały mu drogę do naukowej kariery. W końcu listopada 1843 r. zamieszkał w Limanowej. Tu Karolinie i Leonowi Żuławskim urodził się syn Karol Franciszek Ksawery (1845-1914) oraz trzy córki: Amelia Józefa (1844-1845) zmarła w dzieciństwie, Tekla Leonia (1847-1931) i Józefa Augusta (1854-?). Syn Karol ukończył medycynę na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Pod koniec lutego 1846 r. Leon przeżył w Limanowej sześć strasznych dni, bowiem wokół miasta i okolicy miały miejsce wydarzenia wstrząsające dla młodego lekarza, który przyjechał w rodzinne strony przed dwoma laty z Wiednia. To co zobaczył na własne oczy, zapewne korzystając także z krytycznie potraktowanych relacji świadków, opowiedział na niezadrukowanych kartach swojego wiedeńskiego informatora lekarskiego. Leon Żuławski bardzo plastycznie opisuje zdarzenia mające miejsce każdego z kolejnych sześciu dni, w sześciu częściach wierszowanego utworu „*Oblężenie Limanowy czyli rzeź galicyjska 1846 r.*”

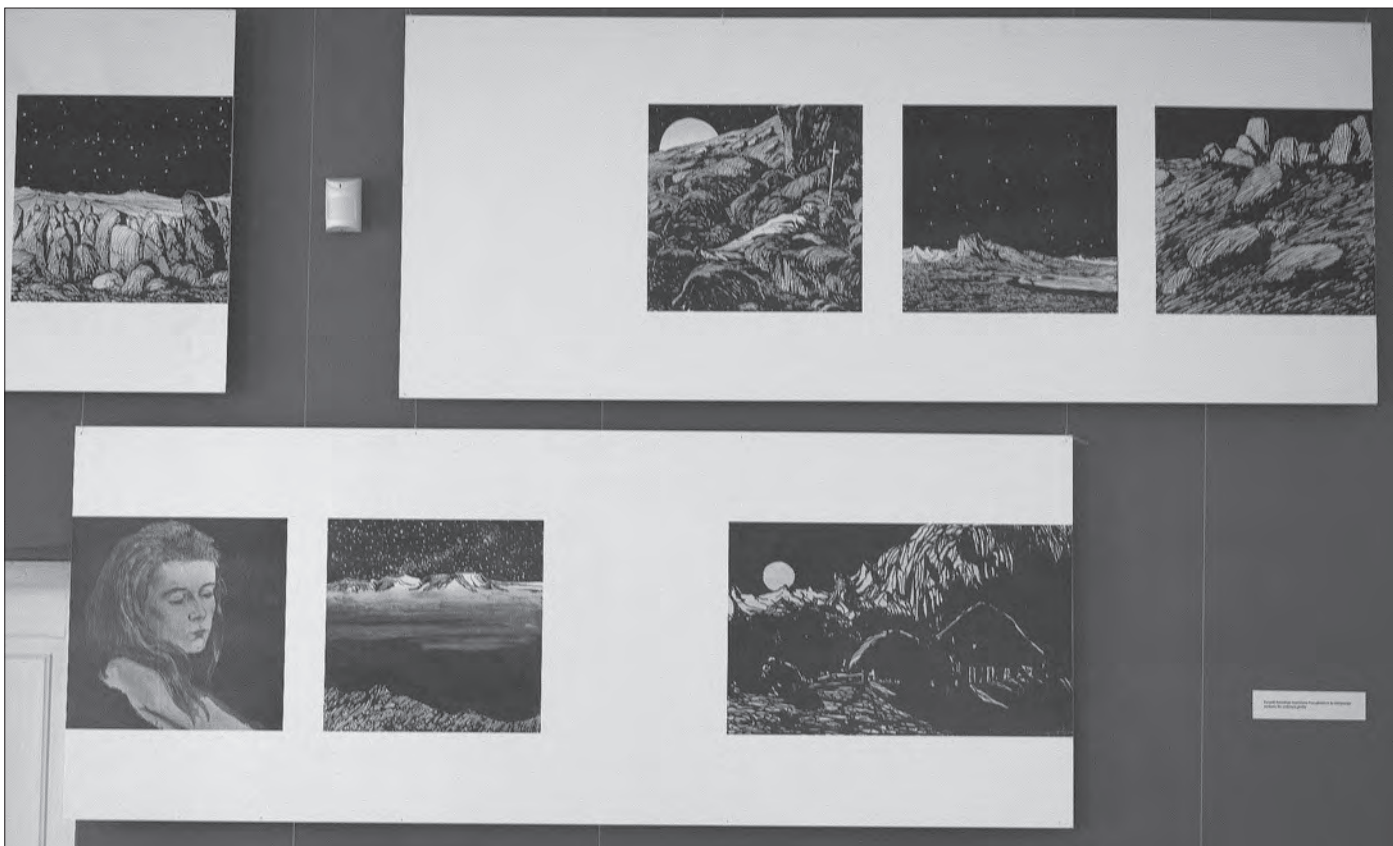
W roku 1845 Leon po raz pierwszy przybył do Krynicy i przez 10 lat zaangażował się w badania naukowe, lekarskie i historyczne oraz społeczną akcję ratowania od upadku i rozwój

krynickiego uzdrowiska. Lata 1845-1852 Leon Żuławski poświęcił badaniom źródeł krynickich, ich historii i zbieraniu informacji, potrzebnych mu do napisania pracy naukowej o Krynicy, przeznaczonej dla lekarzy i dla chorych. W tym czasie nie zaniedbywał swych obowiązków lekarza pracującego w Limanowej.

W latach 1853-54 Żuławski obejmuje funkcję lekarza sezonowego służącego rewitalizacji uzdrowiska w Krynicy.

Doznany w przeszłości uraz spowodował zmiany w kręgosłupie, a potem niemożliwy do leczenia w tamtych czasach paraliż nóg. W roku 1856 nastąpił u niego zupełny paraliż nóg i pełna utrata zdolności samodzielnego poruszania się. Pomimo tej wielkiej niesprawności Żuławski nadal, przez kilkanaście lat wykonywał zawód lekarza. Mimo swego fizycznego cierpienia nie upadł na duchu, gorąco i sumienie wykonywał zawód lekarski.

Limanowa swojego lekarza pożegnała 29 stycznia 1869 roku. Spoczął na nie istniejącym już limanowskim cmentarzu. Po śmierci Leona jego żona Karolina przeniosła się w roku 1876 z Limanowej do Krakowa i zamieszkała najpierw u syna Karola przy ul. Floriańskiej 13, a potem w jego Domu Zdrowia, gdzie zmarła w 1911 roku. Została pochowana



Rysunki Antoniego Stanisława Procajłowicza do pierwszego wydania epopei Jerzego Żuławskiego „Na Srebrnym Globie”.

w grobowcu rodzinnym Żuławskich na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Dom w Limanowej formalnie sprzedany został przez syna Karola dopiero w maju 1907 roku Abrahamowi i Marjem Teligi Rossenwasser.

Leon Hermenegildus Żuławski pozostawił po sobie poważny dorobek w zakresie medycyny, zwłaszcza balneologii, a także z dziedziny historii polskiej i powszechnej oraz utwory literackie. Niestety zachowało się niewiele utworów literackich Leona Żuławskiego.

Główne jego dzieło „*Oblężenie Limanowy czyli rzeź galicyjska 1846*” w postaci książkowej wydane zostało przez jego praprawnuka Jacka Żuławskiego w roku 2010 w Krakowie, o czym pisał Jerzy Bogacz w „Echu Limanowskim” w artykule „*Historia wierszem pisana – Limanowski epizod rzezi galicyjskiej*” („EL”, nr 194-195, listopad-grudzień 2010r.) O odnalezieniu tego dzieła pisał również krakowski dziennikarz i publicysta Stanisław Maria Jankowski skoligacony z rodziną Żuławskich, w artykule: „*Galicyjska Iliada odnaleziona*”, który ukazał się w Magazynie „Focus – Historia” (lipiec 2011 r.), a za zgodą autora artykułu i redaktora naczelnego tegoż magazynu p. Kazimierza Paska, został przedrukowany w „Echu Limanowskim” (nr 236-237, maj-czerwiec 2014 r.).

Pamięć o Leonie Żuławskim - lekarzu najskuteczniej utrwalił Michał Zieleniewski nie tylko słowem drukowanym, ale i swoim działaniem, gromadząc dowody fachowości, sumienności lekarskiej, staranności tego niezwykłego człowieka jego troski o pacjentów i o Zakład Zdrojowy w Krynicy.

Limanowa dołączyła do tej pamięci poprzez wmurowanie tablicy pamiątkowej w rocznicę dwustulecia urodzin Leona Hermenegildusa Żuławskiego.



Portret Leona Hermenegildusa Żuławskiego.

Przy opracowaniu artykułu korzystałem ze źródeł: Leon Żuławski „*Oblężenie Limanowy czyli rzeź galicyjska 1846*” – wydana i notą biograficzną opatrzona przez Jacka Żuławskiego, Kraków 2010 r.

Jan Sitowski „*Wspomnienia limanowskie i staro-sądeckie*” – wydane w Mordarce 1916 r.

Fotografie: Stanisław Ociepka

Stanisław Kulig – limanowski ogrodnik i obserwator meteorologiczny

Stanisław Ociepka: **W bieżącym roku minęła 25. rocznica śmierci Stanisława Kuliga, proszę przybliżyć Jego postać Czytelnikom „Echa Limanowskiego”.** Andrzej Kulig: Kuligowie są rodziną limanowian i wciąż pozostają rodziną limanowskiego ogrodnika. Mówię to z przekonaniem, mimo że od 42 lat mieszkam w Warszawie, a od śmierci Taty minęło już 25 lat. Do dzisiaj pamiętam z okresu dzieciństwa, że gdy na pytania starszych: kim jestem, odpowiadałem – nazywam się Kulig, Andrzej Kulig, słyszałem pytanie lub stwierdzenie – „jesteś synem ogrodnika”.

Stanisław Kulig urodził się podczas I wojny światowej, 3 maja 1918 roku w Limanowej, a dokładnie na Gwizdówce, należącej do Mordarki. Po ukończeniu Szkoły Powszechnej w rodzinnej Limanowej całe swoje życie zawodowe i rodzinne spędził w tym mieście. W 1935 roku podjął pracę w ogrodzie warzywniczym, sadowniczym i kwaciarskim, należącym do obszaru dworskiego, będącego własnością Rodziny Marsów w Starej Wsi. Po wojnie, pełniąc różne funkcje, również pracował w tym samym ogrodzie, który należał kolejno do kilku instytucji. W latach 1945-1947 Ojciec pracował jako

instruktor ogrodniczy dla Państwowego Gimnazjum Gospodarstwa Wiejskiego w Mszanie Dolnej, następnie w latach 1947-1950 w charakterze ogrodnika w ogrodzie sadowniczo-warzywniczym przy Państwowym Gimnazjum i Liceum Leśnym w Limanowej, a w roku szkolnym 1950/1951 jako nauczyciel zawodu w Państwowym Liceum Hodowlanym w Starej Wsi k. Limanowej, powstałym po przeniesieniu w 1950 r. z Łososiny Górnej słynnej Górskiej Szkoły Rolniczej. W latach 1951-1953 ogród, w którym Tata pracował, formalnie należał do Państwowego Gospodarstwa Rolnego (pamiętam, że jeszcze w latach 60. ub. stulecia przychodziły listy zaadresowane „PGR Stara Wieś”), od 1954 r. do 1964 r. – do Państwowego Ośrodka Maszynowego (POM nr 336), a następnie do Miejskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej (MPGK). St. Kulig specjalizował się w warzywnictwie i pogłębiał wiedzę w tym kierunku na kursach zawodowych (m. in. w Kobiernicach koło Kęt w 1948 r. oraz w Krakowie w 1968 r.). W 1984 roku przeszedł na zasłużoną emeryturę. Zmarł nagle 25 stycznia 1991 roku i spoczywa na Cmentarzu Parafialnym w Limanowej.



Stanisław Kulig – ogrodnik i obserwator meteorologiczny w Limanowej (1918-1991), pod palmą w szklarni – zimą 1976 r.



Wschodnia elewacja tzw. „Ogrodniówki” otoczonej niewielkim ogródkiem kwiatowym i trzema winnymi krzewami – widok z okresu przedwojennego. Fot. z lat 30. ub. wieku, ze zbioru E. Cichoń

St. O.: Stanisław Kulig był także obserwatorem meteorologicznym ...

A. K.: Tak. PIHM - Państwowy Instytut Hydrologiczno-Meteorologiczny został utworzony w 1945 roku z kilkoma oddziałami, m.in. w Krakowie. W Polsce w tym okresie rozwijano program i sieć badań meteorologicznych, w ramach którego w połowie ubiegłego wieku w Limanowej został zbudowany post-runek klimatologiczny (o numerze 1375, który nazywaliśmy „stacją”) i w sierpniu 1951 r. rozpoczęto prowadzenie pomiarów i obserwacji meteorologicznych. Lokalizacja ogródka meteorologicznego z przyrządami pomiarowymi ulegała zmianie. Początkowo był zlokalizowany we wschodniej części (w głębi) ogrodu, następnie został przesunięty o ok. 100 m w kierunku północno-zachodnim, bliżej parku, by w końcu trafić na Gwizdówkę, w środkowej części łagodnego zbocza góry Jabłoniec. Niestety, w zbiorach rodzinnych nie zachowało się jakiegolwiek zdjęcie ogródka meteorologicznego



Stanisław Kulig w szklarni wśród „plantacji” goździków popularnych w latach 70. ub. stulecia

w ogrodzie. Ojciec, prowadząc obserwacje na posterunku meteorologicznym, pracował w służbie meteorologicznej nieprzerwanie przez czterdzieści lat (1951-1991), co jest rzadkim przypadkiem w długiej historii Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej (w 1973 r. połączono PIHM oraz powołany w 1960 r. Instytut Gospodarki Wodnej tworząc IMGW). Po śmierci Ojca współpracę z IMGW przez dalsze 10 lat kontynuowała jego żona Stanisława, po czym zakończyło się półwiecze nieprzerwanych pomiarów i obserwacji warunków pogodowych w Limanowej. Działalność Rodziców jako obserwatorów meteorologicznych została szerzej opisana w kilku artykułach¹²³. W latach 2001/2002 w kwartalniku „Almanach Ziemi Limanowskiej” opublikowałem omówienie wyników pomiarów i obserwacji meteorologicznych moich Rodziców⁴⁵, a w „Wiadomościach IMGW” ukazał się komunikat naukowy na ten temat⁶. Ojciec prowadził także przez wiele lat obserwacje fenologiczne, a dokładnie fitofenologiczne, dotyczące zjawiska okresowości w życiu roślin w powiązaniu z czynnikami klimatycznymi i zmianą pór roku. Pracę zawodową, wymagającą m.in. gruntownej znajomości wszystkich działów ogrodnictwa oraz tworzącą harmonijną całość z zainteresowaniami meteorologią i fenologią, wynikające z umiłowania przyrody, Ojciec wykonywał z pełnym zaangażowaniem, wręcz z pasją.



Widok ogrodu od strony południowej – na pierwszym planie wysokie dwuspadowe i ogrzewane inspektory, tzw. „belgijki”, dalej „nowe” szklarnie, a za nimi słup na którym był zainstalowany wiatromierz Wilda – latem 1977 r.



Widok wschodniej części ogrodu – na pierwszym planie niskie inspektory, z lewej strony grusza i orzech laskowy z opartymi o niego słomianymi matami (służącymi do okrywania inspektów), a w głębi magazyny MPKG – latem 1977 r.

St. O.: Jak z perspektywy ćwierćwiecza oceniasz wyniki pracy swojego Ojca?

A. K.: W latach, kiedy ogród podlegał pod zarząd POM-u, jego powierzchnia była 2 – 3 krotnie większa niż w latach 80. Prowadzone były uprawy warzyw i kwiatów: w gruncie, w inspektach (m.in. produkowano rozsadę roślin ogrodowych) i w szklarniach (uprawiano głównie pomidory i goździki). Praca w ogrodzie rozpoczynała się o godzinie 7 rano i trwała 8 godzin. Początek i koniec pracy oznajmiał dźwięk syreny z terenu dawnego browaru, czyli tzw. „owocarni”. Ponieważ praca w ogrodzie była praktycznie pracą całodobową, ściśle związaną z rytmem dnia i pory roku, istniała także konieczność pracy po godz. 15⁰⁰

oraz w niedziele i święta. Sporadycznie były organizowane popołudniowe dyżury. Natomiast w niedzielę lub dni świąteczne takich dyżurów pracowniczych nie było. W tych okolicznościach wiele czynności, niezbędnych do wykonania po południu lub wieczorem, było w zakresie nieformalnych obowiązków Taty, np. opuszczanie okien w inspektach, zamykanie okien w szklarniach, a jesienią lub na wiosnę przykrywanie inspektów słomianymi matami (czego nie można było wykonać do godz. 15⁰⁰), a także nadzór nad ogrodem po godz. 15⁰⁰ oraz w dni wolne od pracy. W wykonywaniu tych licznych obowiązków, szczególnie w niedziele i święta, często pomagali Ojcu najstarsi synowie jako

▶ dorastający chłopcy. Należy stwierdzić, że do końca lat 60. ub. wieku Ojciec pracował praktycznie na kilku „etatach”: ogrodnika, kierownika zakładu, a także dozorującego teren ogrodu i system ogrzewania szklarni. Gdy pojawiły się nowe szklarnie, a wraz z nimi kotłownia, na porządku dziennym była praca w kotłowni. M.in. trzeba było przywozić węgiel do kotłowni i często szuflować węgiel i koks do kotłów. Później, w latach 70. pojawili się dodatkowi pracownicy na tych stanowiskach; tj. palacz i stróż, których wcześniej nie było.

Przez przełożonych i podwładnych St. Kulig był ceniony za obowiązkowość, sumienność i uczciwość. Otrzymał m.in. następujące wyróżnienia: „Medal dla ludzi dobrej roboty” – 1975 r., „Dyplom uznania za 19-letni wkład pracy zawodowej dla rozwoju Przedsiębiorstwa” z okazji Dnia Pracownika Gospodarki Komunalnej – 1983 r. i medal „Za zasługi dla Miasta i Gminy Limanowa”. Potwierdzeniem tej opinii były także wyniki pomiarów i obserwacji meteorologicznych, które oceniano w IMGW w Dziale Kontroli i Gromadzenia Danych jako bardzo wiarygodne i starannie opracowane. Jako obserwator meteorologiczny, Ojciec otrzymał wiele dyplomów i listów pochwalnych od władz Instytutu, np. w *Gazecie Obserwatora PIHM* z sierpnia 1955 r. można przeczytać, że decyzją Dyrektora PIHM przyznano Stanisławowi Kuligowi jednorazowe dodatkowe wynagrodzenie „za systematyczne nadsyłanie dokładnie wypełnionych meldunków o deszczach ulewnych w 1954 roku”. „Dyplom uznania za wyróżniające prowadzenie obserwacji dla IMGW” – przyznany w 1979 r. i „Dyplom za wieloletnie i sumienne wykonywanie obserwacji meteorologicznych” z okazji Jubileuszu 40-lecia Oddziału IMGW w Krakowie – 1986 r. (podpisany przez Dyrektora Oddziału doc. dr hab. inż. Henryka Słotę). Natomiast Mama za prowadzenie obserwacji meteorologicznych otrzymała „Srebrną odznakę honorową – zasłużony dla Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej”, przyznaną 23 marca 1996 r. (Legitymacja Nr 235 podpisana przez Dyrektora prof. dr inż. Jana Zielińskiego).

St. O.: A jak Pan wspomina swojego Ojca?

A. K.: Ojciec ożenił się ze Stanisławą z domu Wrona w lutym 1951 roku. Rodzina Kuligów mieszkała na terenie ogrodu w tzw. „Ogrodnikówce”. Praca



Stanisław Kulig z żoną Stanisławą i dziećmi (Zofia, Ryszard, Andrzej i Wojciech) na tle tzw. „starych” szklarni – koniec lat 50. ub. wieku

Ojca jako ogrodnika i obserwatora meteorologicznego wpływała na życie licznej rodziny (córka Zofia oraz synowie: Ryszard, Andrzej, Wojciech, Jan, Marek i Kazimierz), w której był przestrzegany rytm trzykrotnych codziennych obserwacji i pomiarów oraz comiesięcznych sprawozdań, przygotowywanych przez Mamę. W domu często dyskutowano o obserwowanych zjawiskach meteorologicznych i objaśniano dzieciom mechanizm ich powstawania. W pamięci pozostały uroczystości rodzinne (np. imieniny, wesela), z których Tata-obszernik był odwołany taksówką, aby zrobić konieczne obserwacje i przekazać do centrali zbiorczej (na Turbaczu, w Rabce lub Nowym Sączu) drogą radiową albo telefoniczną zaszyfrowaną depeszę z wynikami. Do przekazywania regularnych komunikatów (dwa razy na dobę) służył radiotelefon, a telefonicznie przekazywano meldunki dodatkowe, np. o wysokości intensywnych opadów. Pamiętam też, że początkowo pod nadzorem, a później samodzielnie byłem w stanie przekazać taką depeszę, wywołując np. *halo Rabka, halo Rabka, tu Limanowa się zgłasza*. Wraz z rozwojem telewizji nasza radiostacja stała się przyczyną zakłóceń w okolicznych odbiornikach TV. Natomiast stale zakłócające radio na falach krótkich było dla Taty zawsze źródłem informacji i „oknem na świat”, dlatego nie przeszkadzaliśmy, gdy wieczorem, po wielu trzaskach pojawiała się zapowiedź:

„tu Waszyngton, słyszą państwo Głos Ameryki” w przypadku rozgłośni VoA lub „Mówi Radio Wolna Europa – Głos Wolnej Polski” w przypadku rozgłośni RWE z Monachium. Dla młodych współczesnych odbiorców Internetu warto dodać, że słuchanie rozgłośni VoA czy RWE (która miała „Promować wartości i instytucje demokratyczne przez rozpowszechnianie prawdziwych informacji i idei”) w latach 50. XX w. było ścigane i karane przez sądy, a w późniejszych latach formalnie zakazane. Jako ciekawostkę, charakteryzującą owe czasy i ludzi, w tym naszego Tatę, warto wspomnieć fakt, że przychodzili do Niego członkowie partii z prośbą, aby zechciał im pomóc i wystąpił w roli ojca chrzestnego w „cichych” chrzcinach, które odbywały się po zamknięciu kościoła. W takim przypadku rodzicowi prawdopodobnie łatwiej było coś załatwić w komitecie partii, niż w parafii. Z kolei Ojciec, ceniąc sobie zaufanie i szczerść ludzi, w takiej sytuacji nie odmawiał.

W latach 60. ogród był miejscem, gdzie kupowało się kwiaty i to o każdej porze dnia, również w niedziele i święta. Rodzice wykonywali także wiązanki kwiatowe i wieńce pogrzebowe. Były to czasy, kiedy w Limanowej nie było jeszcze kwaciarni, dlatego po kwiaty przychodziło się do ogrodnika. Rozmawiając z siostrą lub bratem o tych czasach, widzę oczami wyobraźni np. panie, które w słoneczną niedzielę przychodzą



Stanisław Kulig z żoną Stanisławą i dziećmi – jesienią 1975 r.

po kwiaty oraz to, jak Tata ścina dla nich mieczyki, pochodzące z Ameryki Północnej floksy (po polsku płomyki) lub groszek pachnący. W czasach administracji POM-u ogród był miejscem, gdzie szczególnie w sobotnie popołudnie oraz w niedzielę nauczyciele limanowskich szkół, księża i inni miejscowi notable przychodzili na spacer. Ludzie ci zawsze byli zachwyceni otoczeniem i spokojem, jaki panował w ogrodzie, a na wiosnę np. rechotaniem żab w stawach. Takimi walorami przyrodniczymi i kulturowymi charakteryzowało się miejsce, w którym dorastaliśmy. Wówczas trudno było doceniać te walory. Podobnie jak spacer z Tatą, głównie na Gwizdówkę, gdzie budowany był dom rodzinny, które lubiłem, bo podczas nich mogliśmy porozmawiać lub posłuchać różnych opowieści. To atmosfera ogrodu oraz środowisko przyrodnicze, w którym żyliśmy sprawiły, że po wielu latach dla Zofii i Ryszarda obcowanie z przyrodą stało się silnie odczuwaną potrzebą, a w moim przypadku zdecydowały o wyborze drogi naukowej.

St. O.: Czytelnicy „Echa Limanowskiego” mieli okazję śledzić publikacje dotyczące historii dworu Marsów. W jakim stopniu Stanisław Kulig był z nią związany?

A. K.: W latach 30. i 40. XX w. St. Kulig pracował w ogrodzie należącym do Marsów, w latach 50., 60. i 70. współtworzył historię tego ogrodu. Dodatkowo w latach 60. ub.

stulecia opiekował się związaną z limanowskim dworem panną Różą Pikówną (*1883 – †1971), krewną sławnego farmaceuty i chemika Ignacego Łukasiewicza, pochodzącą z rodziny Stacherskich, która była skoligaconą z Rodziną Marsów. Przed wojną pracowała jako nauczycielka w Szkole Powszechnej w Limanowej, a mieszkając w „Ogrodnikówce”, zajmowała się ogrodem warzywnym i sadem, wspomagając swych dobroczyńców pracą. Po wojnie Róża Pikówna mieszkała w „żółtej kamienicy” przy ul. J. Marka, gdzie ją odwiedzaliśmy. Tak więc można powiedzieć, że Ojciec przez dziesięć lat, w drugiej połowie lat 30. ub. wieku, podczas wojny oraz tuż po niej był „niemym” świadkiem zmian zachodzących w majątku Rodziny Marsów. Piszę „niemym”, ponieważ nie zachowały się żadne materiały archiwalne z tego okresu. Również w przekazie ustnym nie otrzymałem zbyt wielu informacji, bo po pierwsze byłem jeszcze dzieckiem, a i czasy były inne niż współczesne. Chcąc wypełnić tę prywatną „białą plamę”, kilka lat temu dotarłem do członków Rodziny Marsów, zebrałem wszystkie dostępne informacje i na przełomie 2012-2013 opisałem w „Echu Limanowskim” dzieje Rodziny Marsów i jej majątku w tryptyku zatytułowanym „Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu”^{7 8 9}.

Dzisiaj ogrodu dworskiego i miejskiego już nie ma. Na jego dawnym terenie w ostatnim roku trwają prace

niwelacyjne i zachodzą zmiany wskazujące, że być może „wchłonie” go miejski park. Rozpocznie się kolejna karta historii terenu, który był niezwykle ważny dla Stanisława Kuliga i jego rodziny.

Bardzo dziękuję za możliwość przypomnienia postaci Stanisława Kuliga. Wierzę, że dla części mieszkańców Limanowej mój Ojciec jest postacią nie tylko historyczną, ale w dalszym ciągu pamiętaną i dobrze wspominaną.

Andrzej KULIG

**Fotografie ze zbioru A. Kuliga
Warszawa, maj 2016 r.**

¹ Kulig H. (1996): *45 lat Stacji Meteorologicznej PIHM/IMGW w Limanowej*. Gazeta Obserwatora IMGW. Nr 5/XLV.

² Kulig A. (1999): *Stanisław Kulig – ogrodnik i obserwator meteorologiczny oraz jego stacja w Limanowej*. Artykuł w cyklu: *Zachowane w pamięci i dokumentach...* Echo Limanowskie Nr 69. Rok VII listopad, s. 16-17 i 19. Ta publikacja była moim debiutem w „EL” i początkiem wieloletniej współpracy z Redakcją.

³ Kulig A. (2001): *Historia pomiarów i obserwacji meteorologicznych w Limanowej*. Almanach Ziemi Limanowskiej. Nr 6. Rok II Jesień, s. 22-26.

⁴ Kulig A. (2001): *Charakterystyka warunków klimatycznych Limanowej*. Almanach Ziemi Limanowskiej. Nr 7. Rok II Zima, s. 26-31.

⁵ Kulig A. (2002): *Warunki klimatyczne Limanowej i ich konsekwencje dla mieszkańców*. Almanach Ziemi Limanowskiej. Nr 8. Rok III Wiosna, s. 22-25.

⁶ Kulig A. (2002): *50 lat pomiarów i obserwacji meteorologicznych w Limanowej podstawą charakterystyki jej warunków klimatycznych*. Wiadomości IMGW. Tom XXV (XLVI). Zeszyt 1, s. 67-80.

⁷ Kulig A. (2012): *Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu. Okres przedwojenny – dzieje rodziny Marsów*. Cz. I. „EL” Nr 218-219. Rok XX listopad-grudzień, s. 38-45.

⁸ Kulig A. (2013): *Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu. Okres przedwojenny – opis majątku rodziny Marsów*. Cz. II. „EL” Nr 220-221. Rok XXI styczeń-luty, s. 38-43.

⁹ Kulig A. (2013): *Z kart historii starowiejskiego dworu i limanowskiego ogrodu. Okres powojenny*. Cz. III. „EL” Nr 222-223. Rok XXI marzec-kwiecień, s. 38-43.

Budowa kościoła w Sowlinach

XXI wiek – Sztafeta pokoleń

W 2004 r. nastąpiła zmiana na stanowisku proboszcza. Wielce zasłużonego ks. prał. Jana Bukowca – budowniczego kościoła, który przeszedł na zasłużoną emeryturę, zastąpił ks. Tadeusz Śmierciak, który dobrze znał Limanową, gdyż w latach 1985-1988 był wikariuszem w parafii limanowskiej pw. Matki Boskiej Bolesnej. Była to wówczas pierwsza placówka duszpasterska ks. Tadeusza Śmierciaka zaraz po zakończeniu studiów seminaryjnych, które odbył w latach 1979-1985 w Seminarium Duchownym w Tarnowie⁶.

Nowy proboszcz zabrał się energicznie do dzieła, by kontynuować prace swego poprzednika. Uporządkował plac wokół kościoła: został on wyłożony szarą kostką granitową (wykonaną z granitu strzegomskiego?). Ściany kościoła na zewnątrz (w podcieniach i w dolnych partiach kościoła dolnego) zostały wytynkowane. W trakcie tych prac zlikwidowano schody od strony południowej, prowadzące do zewnętrznego podcienia, które zostało zabudowane i w ten sposób powstała boczna kaplica dla dzieci i rodziców z dziećmi (przedłużona o kaplicę św. Józefa, w której stoi rzeźba Świętego, wykonana przez rzeźbiarza Jana Kurka).

Dach na kościele po latach okazał się nieszczelny, zaczął przeciekać, więc trzeba było go zamienić nowym poszyciem. Jest kilka wersji, dlaczego tak się stało. Ks. Prałat Bukowiec uważa, że dekarze – według ekspertyzy – za ściśle felcowali blachę na złączach (wykonywali felcówki). Przypuszcza także, a nawet jest pewny, że słyszał, jak kilka razy dekarze spuścili na dach (wprawdzie nieumyślnie) jakieś ostre narzędzia. Trzecia przyczyna, chyba najwłaściwsza, to taka, że blacha miedziana miała wady i usterki fabryczne (posiadała pęcherzyki powietrzne i w tych miejscach była bardzo cienka), po latach doszło do jej samoistnej perforacji i przepuszczała wodę i dlatego musiała nastąpić jej wymiana. Trzeba dodać, że wymiana pokrycia, czyli zdjęcie starej blachy miedzianej (i sprzedanie jej jako złomu) w dużym stopniu pokryło – zmniejszyło koszty nowego pokrycia. Kolejną pracą, którą trzeba było wykonać, była częściowa wymiana zewnętrznych schodów do kościoła na podjazdy, by umożliwić ludziom niepełnosprawnym wjazd do kościoła górnego. W 2015 r. zewnętrzne schody zostały przebudowane według projektu wykonanego przez architektów Beatę i Igora Pacanowskich z Krakowa. Arch. Pilawski odniósł się do modernizacji głównych schodów wejściowych do kościoła, wraz z pochylnią dla niepełnosprawnych i ocenił to rozwiązanie jako bardzo udane, gdyż „powierzchnia schodów wykonana została z szorstkich kamieni (kamienianych płytek) i pochylnia ma właściwy spadek [odpowiedni kąt nachylenia]. Poręcze, wykonane ze stali nierdzewnej, są bardzo ergonomiczne (chwytlive i praktyczne), elementy małej architektury (jak murki, obłożone granitem, kapinosy itd.) odpowiednie, a nocne podświetlenie schodów (prawdopodobnie lampkami ledowymi) jest również bardzo dobre”.

Ocena kościoła w oczekiwaniu na 25-lecie jego konsekracji

Gdy zapytałem arch. Leszka W. Pilawskiego o opinię na temat koncepcji architektonicznej kościoła, otrzymałem taką oto

ocenę: „Projekt i realizacja kościoła w Sowlinach, jego bryła jest pomysłem nowatorskim i dobrze wpisuje się w teren górski. Kościół, jego budowa jest w stadium prawie zakończonym, ale byłoby niezmiernie pożądane, a więc właściwe, gdyby 3 główne okna (oświetlające przestrzeń nawową od strony północnej) wypełnione zostały witrażami. W makiecie kościoła, którą wykonałem (podczas budowy wież) w skali 1: 100, zaproponowałem – powiedział arch. Pilawski – następujące witraże: Nr 1. Św. Stanisław Kostka – patron kościoła; Nr 2. Matka Boska Królowa Korony Polskiej; Nr 3. Pan Jezus – Syn Boży. Jeśli chodzi o stylistykę, proponowałbym – dodał arch. Leszek Wojciech Pilawski – wersję realistyczną z uwzględnieniem stylistyki kościoła. [Wypowiedź z 30 grudnia 2015 r.]

Parafię w Limanowej-Sowlinach, prowadzoną gospodarnie przez ks. Tadeusza Śmierciaka, czeka jeszcze dużo prac, by kościół był w pełni wykończony i wyposażony. Jedną z nich to na pewno witraże do trzech okien, znajdujących się od strony północnej, ale ich koszt, jak również koszt wykonania projektu do tych okien przekracza na razie możliwości finansowe parafii. Czekają więc na łaskawych ofiarodawców i sponsorów. Czy uda się owe prace wykonać do roku 2018, gdy parafia obchodzić będzie 25-lecie konsekracji kościoła, społeczeństwo polskie czcić będzie 100-rocnicę odzyskania przez Polskę niepodległości (po 123 latach rozbiorów), a parafia MB Bolesnej Limanowskiej święcić będzie 100-lecie odzyskania i poświęcenia kościoła (obecnej bazyliki), czas pokaże.

¹ Wieża ta nie została dlatego zaakceptowana, ponieważ nie nawiązywała do stylistyki kościoła, czyli nie posiadała cech architektury miejsca.

² Jakaś grupka ludzi – mówił ks. Prałat – uważała, że jest to zwykła blacha ocynkowana, gdy jednak zobaczyła, jak trudna jest ona w obróbce, chyba uwierzyła, że jest to nierdzewka. Znaleźli się również sponsorzy, którzy we właściwy sposób ocenili ów tak bardzo poszukiwany materiał – dodał ks. Prałat.

³ J. Sz. Wroński, *Limanowianie z Sowlin – bliżej Pana Boga, wieża symbolizuje wolność – wskazuje niebo* (o nowej wieży przy kościele parafialnym w Limanowej - Sowlinach), „Echo Limanowskie”, nr 108 (Rok XI) – Wrzesień 2003, s. 16-17.

⁴ Gdy zapytałem ks. Prałata czy sprawdzała się stara, przekazywana z pokolenia na pokolenie zasada: *Pamiętaj rozchodzie, żyj z przychodem w zgodzie*. Odpowiedział mi następująco: Gdybyśmy działali w normalnych warunkach, trzeba by się jej było trzymać, ale tutaj nie było normalnych warunków, działaliśmy od przypadku do przypadku, od okazji do okazji, czyli, gdy nadarzała się okazja zakupu np. potrzebnego materiału, nie bacząc na pustą kasę, podejmowaliśmy ryzyko, a więc rozmowy, zapożyczając się w międzyczasie, gdyż – mając doświadczenie na uwadze – taka okazja mogła się już nigdy więcej nie powtórzyć.

⁵ Było potem jeszcze trochę kłopotu, bo działacze limanowscy, swoimi telefonami, zamiast pomagać, przeszkadzali dopowiedział pan Gargarz.

⁶ Ks. Tadeusz Śmierciak urodził się 2 lipca 1960 r. w Starym Sączu. Tam też uczęszczał zarówno do Szkoły Podstawowej nr 1 jak i średniej: do Liceum Ogólnokształcącego. Drugą placówką duszpasterską po Limanowej była w latach 1988-1994 parafia pw. Matki Boskiej Anielskiej w Dębicy. Będąc od 1994 r. wikarym w parafii św. Maksymiliana Marii Kolbego w Tarnowie zaczął pracować już w WOM (Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym) w Tarnowie, a gdy ów ośrodek przemianowano w 1999 r. na MCDM (Małopolskie Centrum Doskonalenia Metodycznego) pracował tam do roku 2004, po czym został mianowany proboszczem w parafii pw. św. Stanisława Kostki w Limanowej-Sowlinach.

Przychodzimy, odchodzimy...

Pamięci Zbyszka Dutki – bardzo osobiście

Góry jak baranowie owiec...

Poetyckie porównanie biblisty wynika z pojęć i skojarzeń codzienności Palestyny i Galilei dziwnie pasuje do ukształtowania Beskidu Wyspowego. Różne, ale nie tak bardzo w wielkości wzgórza pasą się na wyznaczonej dziedzinie wspólnie, ale i każde z osobna. Za nimi na południe nieco wyższe i już nie owcze w kształcie Gorce, szeroko rozciągnięte w pofalowane pasma, zza nich przy pogodzie wystrzeliwiają w niebo zębate Tatry, z tej perspektywy nierealne, z innego świata. Gdy w klasie pierwszej w piękny śnieżny dzień zimowy pani wyprowadziła nas na Łysą Górę i wskazała wzierającą znad Ostrej i Modyni koronkę Tatr, kolega Jaś potraktował zagadnienie sceptycznie – To góry? Eee... to jakieś kamienie!

W Limanowej jak w Zakopanem – są tacy, co z gór zaliczyli jedynie (z „panią”) jakąś najbliższą Pardałówkę i tacy, którzy uznają górskie otoczenie za osobiste dobro. Godne wpisania we własne życie.

I do takich należał Zbyszek. Turysta, przewodnik beskidzki, a przede wszystkim ratownik Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego. Mało kto z zewnątrz wie, jak wiele czasu trzeba „ochotniczo” poświęcić na specjalistyczne szkolenia, dyżury i same wyprawy ratunkowe, które w GOPR nie są tak ekstremalne jak TOPR-u w Tatrach (choć w obszarze działania Grupy Podhalańskiej GOPR są też skaliste Pieniny) mają inną specyfikę, wymagają poświęceń innego rodzaju, a zawsze gotowości do wielogodzinnego wysiłku, czasem przez kilka kolejnych dni. Istotna jest też dobra znajomość terenu, którą najprzyjemniej poszerzać podczas osobistych wycieczek w różnych porach roku.



Zbigniew Dutka (1957-2016)



W Małych Pieninach



Z córką w Gorcach.



W parowozie retro z Chabówki.

O tym więcej mogę powiedzieć, bo w wielu takich górskich spacerach Zbyszkiowi towarzyszyłem – w wycieczkach zbiorowych, takich w parę osób i najwięcej we dwójkę. Zdarzało mi się też, co było miłym wyróżnieniem, być zapraszany na górskie wypadki rodzinne wraz z Żoną Zbyszka i Córką.

Były więc ambitne „wyrpy” w bliższej i odległej okolicy, nawet i Tatry czasem, były „średniowysiłkowe” rekreacyjne przechadzki; chodziliśmy znanymi turystycznymi ścieżkami, a także na przełaj dziko zarosłymi stromiznami stoków lub jeszcze dzikszymi wąwozami urwiskowych potoków, ze zdziwieniem odkrywając „ekspozycje” nie do wyobrażenia w Beskidach czy Gorcach. I nie martwiło, gdy po wydarciu się na wierchowinę znaleźliśmy się w innym od zaplanowanego miejscu. To dowodziło, że górski las pozostawiony sobie szybko wraca do stanu pierwotnego i poruszanie się w nim wymaga pokory.

Tak było pewnego lata, gdy we trójkę – ze Zbyszkiem i kimś tam jeszcze – wybraliśmy się z doliny Koniny na Mostownicę. Pilnie bacząc, by – w oparciu o mapę – nie zbczyć w prawo w mylne ścieżki zbieraczy jagód, „przełajnowaliśmy” – mówiąc z podhalańska – w lewo. Drapiąc się stromym, zda się bez końca lasem, zbyt gęstym, by mieć jakiś szerszy dla orientacji widok, wydostaliśmy się wreszcie na skraj polany Przysłoppek. I to w jej idealnie najwyższym punkcie – 1123 m n.p.m.

Za to geograficznie „na kursie” o 180 stopni różnym od położenia Mostownicy (!)

No i fajnie, psia trawka na Przysłopku miękka do poleżenia, malownicze resztki szałas pasterskiego jeszcze przy

uschniętej jodle widniały, popularnym szlakiem na Turbacz idą zgrabne turystki. Trochę wstyd z pobłądzenia, bo to ja byłem prowadzącym, ale cóż, puszcza była jak w „Drzewiej” Władysława Orkana.

Nie podarowaliśmy! Przez Przełęcz Borek już na pewniaka osiągnęliśmy rozległą halę Mostownicy z pięcioma fotogenicznymi bacówkami. Długi letni dzień pozwala na wędrowkę niekoniecznie najkrótszymi drogami.

Ale ze Zbyszkiem częściej wybieraliśmy się w góry w innych porach roku, najchętniej jesienią i zimą. I przy różnej pogodzie. Nigdy, pamiętam, nie zrezygnowaliśmy z zaplanowanej wycieczki z powodu pogody. Nawet zimą. W zimie pozaliczaliśmy, pomijając zbiorowe zimowe wyjścia na Babią Górę, Kudłoń i kilka razy Gorc, poza tym Mogielicę, Łopień, Ćwiliń i parę pomniejszych wierzchów Beskidu Wyspowego. Było jeszcze wyjście po śniegu na Trzy Korony i Błyszcz w paśmie Suchego Gronia nad Dunajcem. Piszę „wyjście”, bo zawsze poruszaliśmy się na butach, nie korzystając z nart.

Zima w górach użycza widoków jak ze stworzenia świata albo – i wtedy bywa pochyło – nie użycza ich wcale. Na przestrzeni kilkudziesięciu lat błędzenie we mgle czy śnieżycy po głębokim śniegu gorceńskich hal skończyło się dla kilku turystów tragicznie. Ale dla Zbyszka – dla mnie przy okazji – taki hazard to zaprawa i doświadczenie. A nigdy nie wiadomo czy przestrzeń się na moment nie otworzy, ukazując znany widok w zupełnie nieoczekiwanej aranżacji!

Albo pod Piorunowcem jarząbek, ptak niezwykle płochliwy, w śnieżycy dał się podejść na parę kroków. A ta stara bacówka w zadyńce wiernie trwająca

na swoim miejscu, ogień z umiejętności wyszukiwanych w świerkach suchych gałęzi...

Ech, Zbychu...

A w ogóle przy tzw. mniej ciekawej pogodzie to chodziliśmy w góry fotografować. W słoneczny dzień latem poza świtem i zachodem coś oryginalnego można uwiecznić na zdjęciu? Za to niskie oświetlenie, jesienna kolorystyka, mgła czy śnieg pozwalają obfotografowany wielokrotnie motyw ująć całkiem nowo. Dobry efekt to uchwycić moment zanim interesująca struna światła zniknie lub zmieni położenie; fotografia górska ma coś z reportażowej.

Fotografii Zbyszek poświęcił kawał życia, przez wiele lat pracował z nią zawodowo, a zdawało się, że od zawsze – amatorsko. Nie tylko w górach. Korzystając z jego samochodu jeździliśmy za pociągami retro z Chabówki, pojechaliśmy też raz, pamiętam, do Niedzicy obejrzeć i obfotografować imponujący plenerowy spektakl Teatru KTO „Wieża Babel” na tamtejszej zaprzece.

Na co dzień Zbyszek starał się dokumentować wszelkie ważniejsze wydarzenia w Limanowej, jego charakterystyczna postać z gotowym do pracy sprzętem utrwaliła się w powszechnej pamięci.

Zdjęcia prezentował na wystawach indywidualnych i zbiorowych, także poza Limanową; wysyłał też je na konkursy i odnosił sukcesy.

Siedzimy u schyłku dnia gdzieś w widokowym na południe miejscu Łopienia, Ćwilińia czy Mogielicy. Samochód Zbyszka czekający w dolinie daje komfort, nie trzeba się spieszyć jak kiedyś do ostatniego autobusu. Siedzimy więc,

bo warto. Nasze najbliższe „góry barankowe” przysiadły przed rozstajnym amfiteatrem Gorców i Tatr zamkniętym Babią Górą na zachodzie, a Pieninami od wschodu – wśród otoczenia miniaturowe, ale kto dobrze popatrzy, wyodrębni w krajobrazie ząbki ich szczytów. Nic tak pięknie nie odchodzi w nieskończoność jak góry u kresu dnia.

A mnie przypomina się pewna pieśń – „Song o zachodzie słońca” – ciekawe, że nasuwała mi się w górach zwykle przy obecności Zbyszka.

Podczas studiów (przełom lat 60/70) poznałem Staszka Romankiewicza, psychologa i psychoterapeutę w klinice, namiętnego turystę górskiego i autora bluesów – tworzył i słowa, i melodie, a wykonywał a capella z użyciem jedynie dziwnych przyrządów perkusyjnych. Kilka razy nawet udało mu się wystąpić w „Piwnicy pod Baranami”.

W dorobku miał ów niesamowity „Song o zachodzie słońca”, za który zdaje się zdobył jakieś wyróżnienie na lubelskim „Sacrosongu”.

Każdy blues całość stanowi z melodią. To, co zaprezentuję, będzie więc uboższe, ale bez umniejszenia istoty słów:

*Czyś widział kiedy, bracie, słońce,
jak przed zaśnięciem kryje twarz?
Czyś widział kiedy, bracie, słońca
spękaną w bruzdach grubą twarz?
Jak czerwienieje od zadyszki,
gubi się w chmurach żywy blask...*

*Czyś widział kiedy, bracie, góry,
jak giną, gdy nastaje zmrok?
Czyś widział kiedy, bracie, z góry,
jak na doliny schodzi mrok?
Kołysze się na ciemnych biodrach,
unosí w transie czarną dłoń.*

*Być może już za chwilę, bracie,
do domu będzie wołał Pan;
być może dziś lub jutro, bracie,
usłyszysz jak cię woła Pan.
Weźmie dzień pracy i zmęczenia
I w zamian wolne życie da.*

Przychodzimy, odchodzimy...

I tym dwusłowym apostrofem hymnu wspomnianej „Piwnicy” zakończę.

Zbigniew Sułkowski
Fotografie: Zbigniew Sułkowski

Współczesny dokumentalista

-wspomnienia o Zbigniewie Dutce

Znaliśmy się od lat. Jak mówi się u nas w Limanowej, On był z ulicy Ogrodowej ja z Kamieńca, gdzie mieszkała jego ciotka Helena. Nigdy jednak w latach chłopięcych nie byliśmy w bliskich kontaktach. Łączyła nas pamięć o naszych ojcach, którzy w latach 40. i 50. ubiegłego stulecia związani byli z Amatorskim Teatrem Ziemi Limanowskiej. Mój ojciec - Stefan Ociepka - twórca tego teatru, jego - Stanisław Dutka, wspaniały aktor, barwna postać na deskach teatru limanowskiego. Często o nich i teatrze rozmawialiśmy.



W czasie promocji albumu „Okruchy pamięci”. Zbigniew Dutka stoi trzeci z prawej - 2012 rok.

W przeszłości spotykałem go w zakładzie fotograficznym pod arkadami w rynku limanowskim. Był bardzo uprzejmy i rzetelny w swojej profesji. Zainteresowania fotografią Zbyszka były mi dobrze znane. Dlatego kiedy w roku 2008 podjęliśmy decyzję opracowania albumu starej fotografii o Limanowej nie mogło zabraknąć Zbyszka w zespole przygotowującym tę publikację.

Wcześniej nieodpłatnie przekazał zdjęcia swojego autorstwa do publikacji promującej nasze miasto, wydanej przez Urząd Miasta Limanowa zatytułowanej: „Limanowa miasto w Beskidzie Wyspowym”. Kiedy złożyłem mu propozycję uczestniczenia w zespole przygotowującym album „Okruchy pamięci – Limanowa na starej fotografii”, przyjął ofertę ze spokojem

i powagą oraz wyraził zgodę na pracę w zespole. Kiedy podjęliśmy szerszy dialog na ten temat, wówczas okazało się, iż bywa u niego w zakładzie fotograficznym p. Krystyna Bączkowska-Cynke, która zleca mu wykonanie reprodukcji starych zdjęć z Limanowej. Pokazał mi wtedy pięć fotografii z początku XX wieku, które przygotował dla p. Cynke. Były rewelacyjne. Postanowiłem wtenczas zabiegać o kontakt z p. Krystyną – jak później się okazało ze znakomitym wynikiem, bowiem po wielu miesiącach kontaktów z p. Bączkowską udało się odnaleźć tzw. „Skarb limanowski”. Były to zdjęcia wykonane przez jej matkę, Klementynę Bączkowską, z przełomu XIX i XX wieku. Zbyszek był więc dobrym „duchem” tego odkrycia.

Ostatnia droga Zbigniewa Dutki

Sam wniósł do gromadzonych zbiorów albumu bardzo wartościowe fotografie zarówno własnego autorstwa, jak również przekazał wiele zdjęć archiwalnych. Okazało się, iż był namiętnym kolekcjonerem starej fotografii. Wiele zdjęć do tego zbioru załatwił u znajomych i własnej rodziny, zakorzenionych od dziesiątek lat w Limanowej. Był dumny, że mógł przyczynić się do powstania trzech tomów albumów dokumentujących historię naszego miasta w XX wieku. Wyrażał to bardzo delikatnie, był bardzo skromną osobą. Od tego czasu staliśmy się dobrymi znajomymi. A kiedy została zakończona praca nad albumami starej fotografii Limanowej, podjęliśmy innego rodzaju współpracę. Dziesiątki jego fotografii ubogacało kolejne reportaże w „Echu Limanowskim”. Były to zdjęcia archiwalne, jak i bieżące m.in. dokumentujące rozbudowę placu koronacyjnego przy limanowskiej bazylice, słynne zdjęcia wykonane z ukrycia w czasie wprowadzenia stanu wojennego (1981 r.), rekonstrukcję Piety limanowskiej zarówno na krakowskich Błoniach, jak również w czasie powrotu Cudownej Figury do Limanowej, czy budowę Jubileuszowego Krzyża, a przede wszystkim piękne fotografie krajozobrazowe Limanowej i naszych gór. Praktycznie Zbyszek nigdy nie zabrakło z obiektywem, gdy w Limanowej miały miejsce istotne uroczystości zarówno religijne jak i świeckie. Zawsze można było spotkać tę charakterystyczną postać ze sprzętem fotograficznym, kiedy dyskretnie starał się zająć dogodną pozycję, aby wykonać ciekawe ujęcie.

Kontaktowałem się z nim często, przygotowując kolejne wydania „Echa”. Nasza telefoniczna rozmowa była krótka: *Zbyszku, publikujemy artykuł na temat... Czy mógłbyś znaleźć w swoich zbiorach do niego zdjęcia?* Zbyszek odpowiadał. *Coś może znaleźć, to zadzwonię.* Po kilku godzinach dzwonił z informacją, że odnalazł fotografie i są one do odbioru. I tak płynęły ostatnie lata naszej współpracy, którą można wyraźnie zauważyć, biorąc do ręki większość wydań „Echa Limanowskiego”.

Po raz ostatni spotkałem go trzy dni przed śmiercią, kiedy wracał wieczorem z pracy w Liceum, a ja do domu. Rozmawialiśmy prawie godzinę m. in. dopingowałem go aby przygotował materiały o ojcu, które miały być źródłem do artykułu biograficznego o tym ciekawym człowieku. Jak zawsze odpowiedział spokojnie – spróbuję. Niestety nie zdążył, odszedł na zawsze.



Fotografie: Marcin Manka

Galeria fotografii Zbigniewa Dutki str. 34-35

Limanowski Kierat

Stanisław Ociepka

Jedna z nielicznych imprez promujących Limanową na całą Polskę powoli oddala się z Ziemi Limanowskiej. W tym roku kolejny już raz nasze miasto gościło z całej Polski, a także i z zagranicy miłośników ekstremalnych sportów, którzy uczestniczyli w XIII Międzynarodowym Ekstremalnym Maratonie Pieszych.

Trasa tegorocznego maratonu wiodła na północ i zachód od Limanowej. Z parku miejskiego pokierowano zawodników do Sowlin, skąd wyruszyli na szczyt góry Paproć. Następnie trasa prowadziła przez Piekielko do podnóża góry Kostrza, skąd zawodnicy udali się w kierunku skały Żółt na górze Grodziec. Potem musieli przedostać się na drugi brzeg rzeki Tarnawki, aby dotrzeć do XIX-wiecznego dworu w Bojańczycach. Kolejne punkty zlokalizowane były w paśmie Cietnia w pobliżu Cubiej Góry i w paśmie Glichowca. Półmetek znajdował się w Ośrodku Wypoczynkowym „Pod Kamiennikiem” otoczonym górami masywów Kamiennika i Łysiny. Grzbiet tej góry trzeba było pokonać, aby dostać się do punktu na polanie Weszkówka. Kolejny punkt położony był na przeciwnym stoku góry Lubomir. Stąd przez Wiśniową należało przemieścić się w okolice Szczyrzyca, kolejny raz przekraczając pasmo Cietnia. Dalej czekał zawodników długi marsz przez Skrzydlną i mordercze podejście pod szczyt Śnieżnicy. Następnie również długi odcinek na polanę pod Łopieniem. Ostatni punkt zlokalizowany był na stoku góry Świerczek w Słopnicach. Maraton kończył długi i monotony powrót drogą asfaltową ze Słopnic do Limanowej.

Na starcie MEMP Kierat 2016 stanęło 603 zawodników w tym 89 kobiet. Do mety dotarło 329 zawodników: 289 mężczyzn i 36 kobiet, a także 11 zawodników po upływie 30 godzin limitu. Tegoroczny maraton wygrał *Krzysztof Dołęgowski* z Bieska Białej, 100 km pokonał w czasie 12 godz. 8 min, drugi był *Michał Jędroszkowiak* z Książa Wielkopolskiego w czasie 12 godz. 49 min, a trzecie miejsce zajął *Maciej Dubaj* z Krakowa (14 godz. 6 min). Najlepsza wśród kobiet była *Katarzyna Lachor* z Kłodnego (19 godz. 5 min). Najlepszymi zawodnikami z Limanowej byli wśród panów *Paweł Michalik* (19 godz. 15 minut – był to 27 czas maratonu), pan *Monika Włodarczyk* (25 godz. 52 min). W tak zwanej kwalifikacji wieczystej wygrał *Piotr Gruszkowski* z Krakowa, w 13 edycjach Kieratu pokonał



Na trasie, widok w kierunku Miejskiej Góry [Fot. Krzysztof Drożdży]

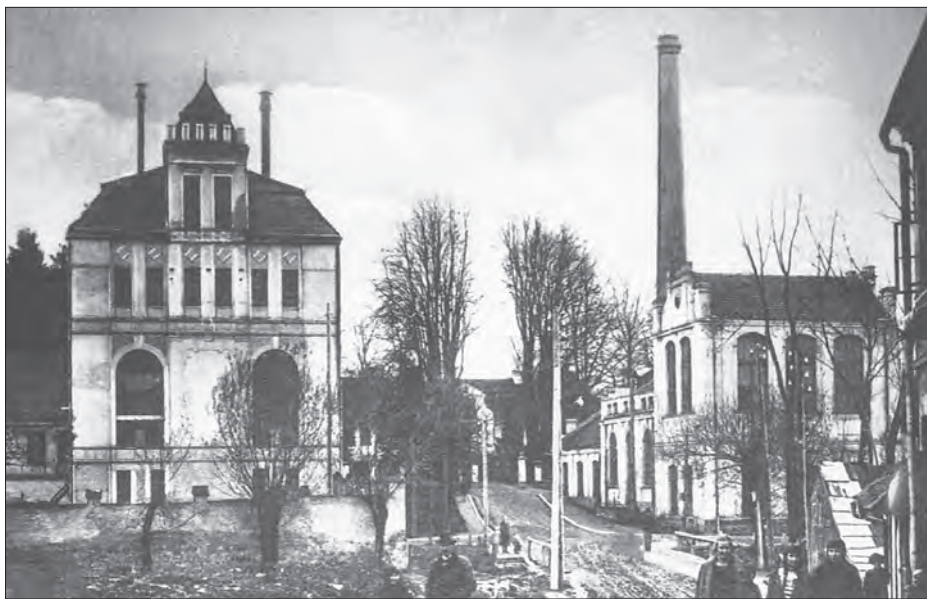


Na jednym z punktów kontrolnych [Fot. Jan Sochoń]

1282 km, a wśród pań najlepsza okazała się *Dorota Stefańska* z Warszawy w 12 edycjach kieratu pokonała w sumie 1113 km. Najstarszym zawodnikiem obecnej edycji maratonu był *Konstanty Garbień* z Brzeska – 66 lat, 100 km pokonał w czasie 27 godz. 40 min, zaś najmłodszym *Jaś Zawada* z Sulejówka – 4 lata, z rodzicami trasę 8 km przeszedł w czasie 1 godz. 40 minut.

Niepokojącym jest to, iż podczas tegorocznego zakończenia maratonu słyszano się, że był to ostatni Kierat w Limanowej. Myślę jednak, że do maja przyszłego roku jest sporo czasu i pogłoski te jednak nie będą zrealizowane. W przeciwnym razie byłaby to wielka strata dla promocji naszego miasta.

Etykiety browaru Marsa



Browar Zygmunta Marsa i Brata.

Etykieta naklejona na butelkę jest dla wielu ludzi, tak powszechna, że trudno im sobie wyobrazić ją jako rzecz wartościową. Nic bardziej błędnego. Ta prosta forma znakowania towaru posiada swoje unikatowe cechy. Bowiem etykieta zawiera szereg informacji przede wszystkim znak firmowy browaru, nazwisko właściciela, gatunek piwa etc.

W wielu przypadkach informacje te wkomponowane są w ozdobniki, scenki rodzajowe, bądź widoki browarów. Znak firmowy browaru najczęściej łączy się z jego właścicielem. Bywa i tak, że w grafice etykiet często znajduje się symbolika związana z wydarzeniami historycznymi.

Pierwsza znana etykieta pochodzi z Anglii z ok. 1840 roku. Natomiast pierwsze etykiety polskie pochodzą z przełomu XIX i XX stulecia i do nich należą etykiety z browaru Zygmunta Marsa i Brata w Limanowej.

Wszystko to sprawia, że etykiety piwne są źródłem zainteresowania wielu hobbistów, którzy gromadzą je w ciekawych kolekcjach.

Kolekcjonowanie wszelkich gadżetów i przedmiotów związanych w pewien sposób z piwem określa się birofilistyką. W birofilistyce występują różne nurty, które zostały wyznaczone poprzez przedmioty, będące obiektem zainteresowania danego kolekcjonera. Głównym najstarszym nurtem rozwiniętym już na przełomie XIX i XX wieku w birofilistyce jest kolekcjonowanie etykiet piwnych tzw. filabirystyka.

Wprawdzie w początkowym okresie celem nie było budowanie kolekcji, ale zbieranie informacji handlowych, to jednak fakt ten pozwolił prawdopodobnie uchronić dla potomnych wiele ciekawych zestawów etykiet piwnych.

Warto więc zaprezentować etykiety piwne związane z browarem w Limanowej, które należą do jednych z najstarszych w Polsce i mają wartość archiwalną oraz przypominają, że w naszym mieście w przeszłości dynamicznie funkcjonował browar.

O historii limanowskiego browaru pisał w „Echu Limanowskim” Jan Wielek w artykule: „Browar limanowski” („EL”, nr 236-237, maj – czerwiec 2014 r.).

Kiedy do Limanowej w 1853 r. przybyła rodzina Marsów, browarem w tym czasie zarządzał Żyd. Niemal do końca XIX wieku Marsowie czerpali niewielki dochód z dzierżawionego przez Żyda browaru starowiejskiego. Kolejni dzierżawcy zrujnowali do końca wyeksploatowane już urządzenia, powodując ograniczenie produkcji. Zbiegło się to z wprowadzeniem w Galicji systemu wolnej konkurencji w przemyśle piwowarskim.

W roku 1890 ówczesny właściciel dworu starowiejskiego Józef Mars gruntownie przebudował cały browar, nadając budynkom współczesny układ i wygląd. „Nowy” browar od tego momentu stał się dużym zakładem, zdolnym konkurować jakością i wielkością produkcji z innymi browarami z okolicy.

(ciąg dalszy na stronie 37)





Zetony piwne z kolekcji Marka Pankiewicza





Limanowa w Zbigniewie





w obiektywie wa Dutki





ELEKTRICAL®

Innowacyjność
Bezpieczeństwo
Jakość

„... Już 20 lat

www.electrical.pl tel. 18 33 70 485

Etykiety browaru Marsa

Wprowadzono nowatorską technologię warzenia piwa, systemem gotowania parą, był to więc pierwszy w kraju browar, który zastosował tą technikę. Browar ten rozwijał się i na początku XX wieku przyjął nazwę: „Pierwszy browar w kraju systemem gotowania parą w Limanowej Zygmunta Marsa i Brata”. Przed I wojną światową był obok powstałej w 1908 roku rafinerii nafty w Sowlinach zakładem dającym zatrudnienie mieszkańcom Limanowej i okolic.

W czasie swojej świetności browar braci Marsów produkuje kilka gatunków piwa, o nazwach: Marcowe, Ciemne, Królewskie, Bok Limanowski, Bawarskie, Żółte, Porter Limanowski, Leżak, Sarmackie, Stołowe, a także piwo zdrowotne Salwator.

Z tego właśnie okresu pochodzą etykiety piwne limanowskiego browaru.

Kolejnymi właścicielami majątku w Starej Wsi i limanowskiego browaru był Zygmunt Mars i jego bratanek Grzegorz, syn Antoniego Izzydora Marsa, profesora i rektora Uniwersytetu we Lwowie. Oni to po I wojnie światowej przekazali w administrowanie limanowski browar Konradowi Wolframowi, synowi Marii Anny, córki Antoniego Józefa Marsa.

Kiedy w roku 1928 Zygmunt Mars (nie posiadał potomków) należąca do niego połowę majątku przekazał Grzegorzowi Marsowi, który wcześniej odziedziczył drugą połowę po ojcu Antonim Izydorze, Grzegorz stał się jedynym właścicielem limanowskiego browaru.

Zygmunt Mars zgodnie z zawartym kontraktem miał wraz żoną Jadwigą prawo do dożywotniej renty i stałego mieszkania w limanowskim dworze.

Niestety Grzegorz nie miał szczęścia i kiedy w latach 1929-1933 nastąpił wielki kryzys gospodarczy, działalność browaru została przerwana w wyniku strajków robotniczych, a Karol Wolfram, po stracie pracy, przeniósł się do Warszawy.

Na skutek trudności ekonomicznych Grzegorz Mars zamknął browar w 1934 r., więksi producenci piwa płacili mu za nieuruchamianie produkcji. Do nich prawdopodobnie należał Antoni Jan Goetz – Okocimski, ostatni właściciel browaru w Brzesku. Był on skoligacony z rodziną Marsów. Jego żona Zofia z domu Chrząszcz, pochodząca z Graboszycko koło Wadowic, była siostrą Olgi Marsowej, żony Krzysztofa Marsa, właściciela majątku w Sądowej Wiszni – rejon lwowski.

Ciekawostką związaną z kolekcją gadżetów kojarzonych z piwem są „żetony piwne”.

W kolekcji Marka Pankiewicza znajdują się żetony z XIX wieku, pochodzące z browaru w Brzesku, którego właścicielem w tym czasie był Jan Albin Goetz, ojciec Antoniego Jana Goetza – Okocimskiego. Być może takimi żetonami płacono i w Limanowej. Żeton piwny był zastępczym środkiem płatniczym przy drobnych codziennych transakcjach, zastępujący pieniądź legalny. Wiele browarów w Polsce żetonami piwnymi regulowało dodatkowe wynagrodzenie swoich pracowników. Realizować je można było jedynie w firmowych magazynach i sklepach. Posługiwano się nimi także w restauracjach, płacąc za piwo i eliminując w ten sposób obrót gotówką.



Ucieczki z obozu zagłady KL Auschwitz – Harmęże

„Rotmistrz Pilecki jest jednym z naszych bohaterów narodowych, przy którego imieniu należałoby salutować każdemu wojskowemu...

Nie jesteśmy lepsi od Niemców i Rosjan, ponieważ potrafilismy własnymi rękami mordować swoich bohaterów...”

(Adam Cyra – fragment mowy obrońcy, który występował na rozprawie rehabilitacyjnej Rotmistrza Pileckiego 1 października 1990 r.)

W bieżącym roku w maju w podobozie KL Auschwitz – Harmęże odbyły się obchody 75. rocznicy pierwszych udanych ucieczek z tej tragicznej „fabryki śmierci”, w której życie straciły niezliczone istnienia ludzkie – Polacy, Żydzi, Cyganie, jeńcy radzieccy, Węgrzy, Czesi i przedstawiciele innych narodów podbitych przez niemieckiego agresora.

Wśród gości przybyłych na uroczystość była para korespondentów z Nowego Jorku – Maria Goljan pomagająca w zbieraniu materiałów dotyczących tamtych, historycznych wydarzeń i Jack Fairweather autor cyklu reportaży wydanych w formie książkowej m. in. o Iranie i Syrii, mający na koncie spore osiągnięcia literackie w USA.

Wymienione osoby przybyły do Polski już na początku maja, by zebrać materiał do publikacji, która ma ukazać się w USA i dotyczyć form walki więźniów z potężnym przeciwnikiem w miejscu, w którym na każdym kroku czyhała śmierć zgodnie z nazwą „obóz zagłady”.

Publikacja ma także wypromować nazwiska osób, które nie zważając na siebie, ratowały innych, przygotowując ucieczki, podnosząc na duchu w chwilach załamania, chroniąc od śmierci głodowej poprzez „organizowanie” dodatkowych racji żywnościowych, kierując chorych w dobre lekarskie ręce, zdobywając potrzebne medykamenty i konieczną ciepłą odzież.

Korespondenci szukali rodzin więźniów, którzy, w wyniku udanych ucieczek zdołali „ocalić” życie. Zebranie takich wiadomości jest obecnie trudne, głównie ze względu na upływ czasu. 75 lat w życiu człowieka to bardzo dużo. Żaden z uratowanych „szczęśliwców” już nie żyje. Najczęściej odeszły też w bezpowrotną drogę ich dzieci, a wiadomości od wnuków i prawnuków nie oddają tamtych realiów. Ogromną pomocą są zapisy naczynych świadków w formie notatek lub pamiętników, ale tych jest znikoma ilość.

Wielu rodzin nie udało się odnaleźć, niektóre miały zbyt mało wiadomości o swoich przodkach, inne nie chciały wspominać. Korespondenci szczególnie interesowali się Rotmistrzem Witoldem Pileckim i jego najbliższymi pomocnikami, bo wiadomo, że tak wielkich czynów, jakich on dokonał, nie można było

zorganizować w pojedynkę. Witold Pilecki, który jako „ochotnik” dostał się 21/22 grudnia 1940 roku do KL Auschwitz i otrzymawszy numer obozowy 4 859 przy pomocy kolegów należących do podziemnej organizacji pod nazwą Tajna Armia Polska (TAP) rozpoczął w trudnych do opisanie warunkach tworzyć siatkę: pod nazwą Związek Organizacji Wojskowej (ZOW). Ponadto prowadził obserwacje życia obozowego, eksperymentów dokonywanych na więźniach, organizował dla nich pomoc, przekazywał sprawozdania do Związku Walki Zbrojnej i Wielkiej Brytanii, która nie wierzyła, że coś tak potwornego może się dzieć naprawdę.

System przekazywania wiadomości był skomplikowany i tajny, ale działał bez zarzutu. Przybyli goście z USA skontaktowali się najpierw z krewnymi rotmistrza, a potem zaczęli odwiedzać miejscowości, w których się ukrywał po ucieczce z obozu i szukać osób, które mu pomagały.

Rozmawiali także z członkami rodzin „ocalonych”. Do takich osób, którym los sprzyjał i wyszli „żywi” z fabryki śmierci, należał Wincenty Gawron – utalentowany artysta – malarz, witrażysta,



Wincenty Gawron, więzień KL Auschwitz nr 11237

drzeworytnik, numizmatyk, grafik i pisarz, a nade wszystko patriota pamiętający o swojej Ojczyźnie, zwłaszcza o najmilszej sercu Ziemi Limanowskiej. Artysta, niestety, już od 25 lat nie żyje, ale jego bratanek zabezpieczył wiele dokumentów. Część z nich przekazał do Muzeum Etnograficznego w Krakowie, by mogły być podstawą prac dokumentalnych.

Wincenty Gawron początkowo związał swoją drogę życiową ze stolicą, ale po wybuchu II wojny światowej wstąpił do tajnej organizacji – Czynu Zbrojnego i w listopadzie 1939 r. powrócił do Limanowej, by organizować jej bojówki na terenie powiatu limanowskiego i częściowo nowosądeckiego.

Ta działalność, wskutek donosu do władz niemieckich, zakończyła się aresztowaniem artysty w styczniu 1941 r. przez limanowskie gestapo, przewiezieniem go do Nowego Sącza i poddaniem torturom, podczas których nikogo nie wydał. Następny etap to Tarnów, skąd 5 kwietnia 1941 r. pojechał do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie stał się numerem 11 237.



Tablica pamiątkowa poświęcona rtm. Witoldowi Pileckiemu, zaprojektowana i ufundowana przez byłego więźnia KL Auschwitz Wincentego Gawrona, poświęcona w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie 11 listopada 1990 roku.



Ucieczka z obozu. Grafika Wincentego Gawrona.

Szczęściem w tym ogromnym nie-szczęściu było poznanie w obozie Witolda Pileckiego, który przebywał już tam od grudnia ubiegłego roku i rozpoczął swoją działalność, czyli tworzenie pierwszych „piątek” konspiracyjnych.

Porozumienie z następną „piątką” miał tylko jeden jej uczestnik, co zmniejszało możliwość dekonspiracji.

Witold znany w obozie jako Tomasz Serafiński pragnął powstałe „piątki” (było ich już pod koniec pobytu Tomasza w obozie około 700) przekształcić w Związek Walki Zbrojnej (późniejsze AK). Wszelkie meldunki Witolda przekazywali zwolnieni z obozu więźniowie, uciekinierzy lub przesyłał je osobiście w zaszyfrowanych listach, które odbierała jego szwagierka Eleonora Ostrowska i nadawała im dalszy bieg.

Publikowała je potem konspiracyjna prasa, a także rządy USA i Anglii. „Witold” marzył o wyzwoleniu całego obozu, o zwróceniu więźniom wolności, o wielkiej koncentracji AK i uderzeniu na wroga, lecz na takie rozwiązanie nie wyrażały zgody władze londyńskie i warszawskie.

Pozostała zatem działalność innego typu – organizowanie pomocy psychicznej, dostarczanie zagłodzonym więźniom większych racji żywnościowych zdobytych podstępnie z magazynów zwanych „kanadą”. W tych magazynach SS-mani i kapo składowali zapasy żywności odebrane ludziom, którzy mieli je w swoich bagażach sądząc, że jadą na roboty do Niemiec, a kończyli życie w oświęcimskim krematorium. Zadanie polegało na zdobyciu przynajmniej niewielkiej części tych dóbr i obdzieleniu nimi więźniów. W owych magazynach znajdowano również ciepłą odzież potrzebną do podtrzymania „kruchego zdrowia” więźniów i lekarstwa. Więźniowie bardzo często ulegali załamaniom psychicznym, depresjom szczególnie w początkowej fazie pobytu i należało im pomóc. Niestety nie było psychologów. Szukano więc osób, które mimo tragicznej sytuacji, potrafiły dostarczyć cię nadziei i podnieść na duchu innych. Takie rozmowy i siła przekonywania potrafiły wiele zdziałać.

Powstające „piątki” niosły także pomoc w tym zakresie, a w dodatku prowadziły walkę z donosicielstwem i więźniami

kryminalnymi, którym zależało tylko na sobie, a w stosunku do innych, szczególnie mało odpornych psychicznie, wykazywali instynkty godne oprawców.

Wincenty Gawron zaprzyjaźnił się z Witoldem Pileckim, co w warunkach obozu koncentracyjnego zdarzało się rzadko, a w dodatku przyjaźń w warunkach tak ekstremalnych nie ma nic wspólnego z przyjaźnią na wolności.

W swym pamiętniku pisanym w obozie na skrawkach cudem zdobytego papieru, zatytułowanym „Rok w pasiakach” (po przepisaniu na maszynie 279 stron) Wincenty oddaje całą groźbę panującej tam sytuacji, ale pisze także o ludziach, którzy w tym „piekle na ziemi”, pozostawali nadal istotami takimi, jakimi byli na wolności. O bohaterze AK – Witoldzie Pileckim zamieścił m.in. takie stwierdzenie: „Spałem z nim na jednym sienniku. To on umożliwił mi ucieczkę.” To ogromne szczęście, że ten pamiętnik ocalał, że autorowi udało się go wynieść z obozu w wydrążonej desce ozdobionej z zewnątrz płaskorzeźbą górala. To już nie jest pamiętnik. To dokument obrazujący życie w obozie, „to dowód w SPRAWIE”.

Wcześniej artysta znalazł się w trzeciej „piątce górnej” razem z kpt. Eugeniuszem Trieblingiem, por. Włodzimierzem Makalińskim, por. rez. Stanisławem Gutkiewiczem i Stanisławem Stawiszyńskim.

Każda z kolejnych „piątek” wierząc, że jest jedynym szczytem Organizacji rozwijała się samodzielnie, zakładając nowe piątki, przekazując informacje z wolnego świata i utrzymując łączność z ludnością cywilną.

Do 1941 r. za ucieczkę więźnia stosowano odpowiedzialność dziesięciokrotną, czyli za jednego zbiegłego rozstrzelivano każdego dziesiątego. Dlatego Związek Organizacji Wojskowej nie uczestniczył wówczas w przygotowaniu uciezek. Na początku 1942 roku przyszedł zakaz stosowania tego typu kar. Dlatego ZOW przystąpił do przygotowania uciezek. Gdy wszystko już było dopracowane, w maju 1942 r. Witold przesłał meldunek do Warszawy przez Stefana Bieleckiego i Wincentego Gawrona, ratując im równocześnie życie, bo obydwoj mieli wyroki śmierci za posiadanie broni. Ucieczka nie spowodowała w Harmęczach żadnych represji.

Stefan Bielecki po spełnieniu rozkazu pozostał w stolicy, by pracować w konspiracji, a Wincenty Gawron powrócił w rodzinne strony 24 maja 1942 r., w uroczystość Zielonych Świątek. Bojąc się o los rodziny, nie pojawił się u niej, lecz znalazł kryjówkę najpierw u przyjaciela, a potem w różnych wioskach powiatu limanowskiego i nowosądeckiego.

Żonę mieszkającą w Warszawie ostrzegł „tajną” drogą prosząc, by zmieniła adres. Nie uwierzyła, myśląc że to podstęp. Na szczęście ręka wroga jej nie dosięgła.

Artysta często zmieniał miejsca pobytu. Mieszkał w Jaworznej, Zmiącej, Młyńskich, Czarnym Potoku i Kicznej. Tam zorganizował dywersyjny oddział AK i został jego dowódcą, przybierając nazwisko Kowalewski. Na wiosnę 1944 r. placówka partyzancka została zdekonspirowana i trzeba było ją rozwiązać.

Po otrzymaniu wiadomości o planowanym wybuchu powstania w stolicy, pospieszył do Warszawy, by wziąć udział w tym patriotycznym zrywie. Walczył w grupie „Koło” na Starym Mieście, a potem pracował w rusznikarni przy ul. Mokotowskiej.

Upadek powstania, obóz w Pruszkowie, aresztowanie przez NKWD w kwietniu 1945 r. i zagrożenie życia w Polsce, dla



której walczył, marząc o jej wolności spowodowały, że podjął decyzję o opuszczeniu kraju. Przeżył to bardzo, ale nie było innego sposobu, by po raz drugi uratować życie. Przez „zieloną granicę” dostał się do Włoch, potem do Anglii, Kanady i USA, by rozpocząć inny etap życia, smutny, bo poza Ojczyzną, gdzie wszystko trzeba było zaczynać od nowa.

Uważał, że i tak miał ogromne szczęście, bo spotkał dobrych ludzi na swej życiowej ścieżce, dzięki którym udało mu się zachować istnienie.

Po ucieczce z obozu Wincentego Gawrona i Stefana Bieleckiego zaczęto budować nowe bloki na byłym placu apelowym, a istniejącym nadbudowano piętra. Wszystkie te budowy kosztowały życie tysięcy ludzi, bo potrzebne materiały, takie jak cegły, dachówki musieli więźniowie przenieść na swych barkach, pokonując wiele kilometrów. O tym wszystkim informował podziemne władze w kraju i za granicą Witold, podobnie jak o zabieraniu przez esesmanów wartościowych paczek przesyłanych przez rodziny więźniom, którzy już nie żyli. Należało zatem znaleźć sposób powiadomienia rodziny, by zaprzestała tej niepotrzebnej już pomocy. Pomagał w tym jeden z esesmanów, który miał jeszcze resztki sumienia i przerywał ten ciąg pomocy, przybijając pieczętkę nakazującą zwrot. Był to Austriak. Oprawcy cieszyli się szczególnie z paczek otrzymywanych z Czech, bo oprócz cukru, słodyczy i cytrusów zawierały także wina.

Pilecki doniósł też „światu”, że w Brzezince polecono Żydom pisać listy do rodzin (szczególnie w Czechosłowacji), że pracują i żyje im się bardzo dobrze. Miało to uspokoić opinię publiczną. Naturalnie po napisaniu listów, Żydów skierowano do komór gazowych.

Rotmistrzowi wiele razy groziło wykonanie, ale dzięki szczęśliwym okolicznościom zdołał utrzymać się przy życiu i przejść przez ciężkie zapalenie płuc i tyfus.

Kiedy został wyrzucony z pracy w garbarni 2 lutego 1943 r., bo podobno wygłądał „na inteligenta”, zrozumiał, że czas opuścić obóz. Udało mu się dostać do pracy na nocną zmianę w piekarni poza zasiekami obozu. Praca była mordercza, w bardzo wysokiej temperaturze trzeba było przygotować kilka tysięcy bochenków chleba dla więźniów. Innego sposobu ucieczki jednak nie było, a czas naglił. Witold Pilecki znalazł się na tej zmianie razem z Janem Redzejem i Edwardem Ciesielskim. Była to trójka zdecydowana wspólnie opuścić obóz. Po szóstym wypieku z trudem otworzono ciężkie drzwi i wymieniona trójka opuściła z pośpiechem obóz żegnana spóźnionymi strażnikami wartownika. Powitała ich ciemna i zimna noc.

Witold Pilecki przebył w oświęcimskim piekle dziewięćset czterdzieści siedem dni. Pomógł innym i wyszedł cało, nie licząc złamanego mostka, braku kilku zębów i nadwężonej psychiki. Powiedział: „Zapłaciłem bardzo tanio



Apel, rysunek Wincentego Gawrona.

za tak długi pobyt w obozowym sanatorium”. Nie wiedział, że to, co go czeka, będzie o wiele gorsze.

Przybył do Bochni i zatrzymał się u rodziny Oborów i żony Edmunda Zabawskiego, który był także więźniem obozu, ale nie zdecydował się na ucieczkę, obawiając się o swoją rodzinę (żonę i córkę¹⁾). Potem udał się do Nowego Wiśnicza, do rodziny Serafińskich, bo w obozie nosił nazwisko jednego z nich i chciał uregulować sprawy personalne. Następnie pojechał do stolicy, poddał się rygorom organizacji, do której należał i zaczął dalszą działalność. Przed wyjazdem do Warszawy otrzymał wiadomość od zwolnionego z łagru bocheńskiego muzyka Antoniego Gargula (nr 5 665), że po ucieczce trzech „przez piekarnię” żadnych represji w obozie nie było.

Potem było jeszcze Powstanie Warszawskie, więzienia w Lamsdorf i Murnau i powrót do Ojczyzny z nową misją – utworzenia siatki informacyjnej na temat narzuconych systemem rządów komunistycznych. Ta misja zakończyła się dla Witolda Pileckiego tragicznie. On – Wielki Patriot, bohater wszechczasów, „Ochotnik do Oświęcimia”, ratujący życie więźniom – został postawiony przed sądem, torturowany, w wyniku długotrwałego procesu skazany na śmierć i zamordowany w kraju rządzonym przez komunistów 25 maja 1948 roku po wieczornym apelu.

Wyrok śmierci wydał na niego Józef Różański, pracownik NKWD, który

wiedział o zasługach Pileckiego, bo zapoznał się z jego archiwum domowym zabranym przez UB. Zastrzelono go i pogrzebano pod płotem cmentarza na Powązkach w Warszawie. Do tej pory nie odnaleziono miejsca pochówku. Trzeba było czekać 43 lata, by pośmiertnie zrehabilitowano Witolda Pileckiego



Uciekinierzy proszą o pomoc - rysunek Wincentego Gawrona z drugiej połowy 1942 r. wykonany po ucieczce z obozu.

i anulowano hańbiący stalinowski wyrok. Prezydent Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski. Jedyne współpracownicy Witolda, Marii Szelańskiej, zmienił karę śmierci na dożywocie. Nie stanął też w obronie Pileckiego Józef Cyrankiewicz, ówczesny premier, który był więźniem obozu wówczas, gdy Witold w nim przebywał.

Tego strasznego wyroku nie mógł przeboleć Wincenty Gawron. Dowiedział się o nim w czasie pobytu na drugiej półkuli. Zawsze podkreślał zasługi Pileckiego, wierzył w jego rehabilitację I PRZYWRÓCENIE MU CZCI.

Gdy już mógł przyjechać do Ojczyzny, zawsze odwiedzał Jego rodzinę – żonę Marię i syna Andrzeja. Ostatni raz w 1990 roku. Jemu poświęcił książkę „Ochotnik do Oświęcimia” ze stosownymi ilustracjami i ufundował tablicę upamiętniającą Rotmistrza w Kościele Garnizonowym w Warszawie w listopadzie 1990 roku. Żałował, że tylko tyle mógł dla niego zrobić.

¹⁾ Edmund Zabawski przeżył obóz koncentracyjny i wrócił do pracy. Był dyrektorem Szkoły Podstawowej nr 3 w Bochni. Odszedł na emeryturę w 1972 r. Już nie żyje.

Pan Profesor Józef Staniszewski

– wychowawca, nauczyciel, turysta, fotografik

Do napisania tych wspomnień zachęcił mnie piękny, szczerzy i bardzo osobisty artykuł p. Zofii Wiśniewskiej zamieszczony w poprzednim numerze „EL”. Wrażenia i czas spędzony przez p. Zofię z p. prof. Józefem Staniszewskim opisane w Jej wspomnieniach przypominają i chronią od zapomnienia tak wybitną postać jak p. Profesor.

Od chwili przybycia do Limanowej p. prof. Józef Staniszewski wynajmował pokój w domu pp. Zofii i Rudolfa Seidlerów. Około 100 metrów niżej przy obecnej ulicy Orkana, a wtedy z adresem Sowliny 79 jest dworek „Willa Zacisze”, który nabyli moi dziadkowie w 1934 roku.

W czasach szkolnych p. Zofii nasza rodzina mieszkała w Gdańsku i każde wakacje spędzaliśmy w naszym dworku. Powróciliśmy do Limanowej w roku 1952. Z czasów szkoły podstawowej, dawniej Szkoły Ćwiczeń dzisiaj tzw. „dwójki” pana prof. Józefa Staniszewskiego pamiętam jedynie ze sporadycznych, sąsiedzkich spotkań.

Prawdziwe zapoznanie odbyło się z chwilą rozpoczęcia edukacji w „ogólniaku” w Sowlinach w roku 1956. Szkoła mieściła się w jednym z budynków wzniesionych przez Francuzów w kolonii „przyfabrycznej”, czyli przy rafinerii nafty.

Pamiętam naszą grupę uczniów, którzy ukończyli różne szkoły podstawowe w Limanowej i w całym powiecie, a na przeciw stało grono profesorów z dyrektorem szkoły p. prof. Wilhelmem Taborem na czele. Wśród profesorów byli m.in.: pp. Prof. Zofia Wazio, Maria Czerwowa, Olga Illukiewicz, Stefania Tokaryk, Jacek Odziomek, Aleksander Banaś, Ignacy Cudek, Józef Zboś i prof. Józef Staniszewski. Religii uczył ks. Władysław Ślęk.

Wtedy jeszcze było normalnie: siedem klas szkoły podstawowej i kontynuacja numerów, czyli od ósmej do jedenastej szkoły średniej.

Podzielono nas na dwie klasy A i B. W klasie A matematyki uczył p. prof. Józef Staniszewski, a fizyki p. prof. Józef Zboś. W klasie B było odwrotnie. Zostałem



Tatry - widok z Głodówki [Fot. Dariusz Ocieпка]

zapisany do klasy 8B. Pan prof. Józef Staniszewski zapamiętany z lekcji fizyki był nauczycielem bardzo sprawiedliwym, ale wymagającym. Zawsze świetnie przygotowany do lekcji i pedantyczny w najdrobniejszych szczegółach. Uczniowie wymyślili sympatyczny pseudonim dla p. Profesora i wszyscy nazywali go „Stasiu”.

Pamiętam chwilę „grozy”, gdy na lekcji był czas tzw. pytania uczniów. Pan prof. z namysłem śledził listę uczniów w dzienniku i po chwili odczytywał nazwisko delikwenta. Z wyjątkiem wybranego cała klasa oddychała z ulgą. Czasem podczas lekcji p. profesor przeprowadzał doświadczenia fizyczne. Jedno z nich wymagało zapalenia palnika i wtedy okazało się, że p. profesor miał również poczucie humoru: Z zapalką w ręce żartobliwie powiedział: „*niech się dzieje wola Boska zapalimy papieroska*”. Oczywiście cała klasa zareagowała radosnym śmiechem.

Po ukończeniu roku szkolnego w klasie 8B w roku 1957 ujawniła się turystyczna pasja p. prof. Józefa Staniszewskiego. Z pewnością z inicjatywy p. Profesora zaproponowano nam na początku wakacji tygodniową wycieczkę w Tatry. Dzięki tej wycieczce były to jedne z najwspanialszych wakacji. Zgłosiło się około 10 uczniów, koleżanki jak i koledzy. Cała trasa wycieczki była drobiazgowo zaplanowana przez p. Profesora. Była to druga połowa lipca i wycieczka trwała 6 dni. Pomimo upływu czasu tak wielu lat pamiętam każdy dzień tej wycieczki. Pan Profesor jako wytrawny turysta był

zapałym zwolennikiem zdobywania Górskiej Odznaki Turystycznej (GOT), której były trzy rodzaje: brązowa, srebrna i złota. Po tej wycieczce p. Profesor wszystkim chętnym wypełnił szczegółowo niezwykle starannym pismem trasę, którą przeszliśmy każdego dnia, za którą była przyznawana określona ilość punktów. Po powrocie okazało się, że zdobyliśmy brązową odznakę GOT.

Początek wycieczki był na stacji kolejowej w Limanowej. Pociągami z przesiadką w Chabówce dojechaliśmy do Poronina. Tam wysiedliśmy i trasą opracowaną przez p. Profesora poszliśmy pieszo przez Bukowinę Tatrzańską na polanę Głodówka. Dzisiaj jest tam wygodna szosa asfaltowa. Wtedy ta droga była w budowie. Jak zwykle zamiast wymarzonej słonecznej pogody całą drogę padał deszcz. Gdy dotarliśmy do Głodówki, p. Profesor zapewniał nas, że tutaj jest najpiękniejszy widok w Polsce na Tatry. My widzieliśmy jedynie poprzez strugi deszczu jednolitą mgłę, która zasłaniała nawet pobliski las świerkowy, nie mówiąc o dalszych szczytach tatrzańskich. O tym, że jest to naprawdę niezwykły widok na Tatry Bielskie z lewej strony, Tatry Wysokie pośrodku, z najwyższym Gerlachem, Rysami, Mięguszowieckimi Szczytami i mnóstwem innych wybitnych szczytów oraz Tatrami Zachodnimi po prawej stronie przekonaliśmy się podczas licznych późniejszych wycieczek samochodowych. Wtedy patrząc na niezrównaną panoramę Tatr z Głodówki w pełnym

słońcu, przyznawaliśmy zawsze rację p. prof. Józefowi Staniszewskiemu, że jego ówczesne zapewnienia były w pełni uzasadnione.

Z Głodówki przez Wierch Poroniec (gdzie droga Oswalda Balzera z Zakopanego łączy z tą przez Głodówkę i zmierza pod tą samą nazwą do Morskiego Oka) i przez Rusinową Polanę dotarliśmy do Wodogrzmotów Mickiewicza. Stąd po przejściu mostu i skręceniu w lewo było już blisko do schroniska w Roztoce. Przemoczeni i zmarznięci wreszcie dotarliśmy do suchego i ciepłego schroniska. Po przyjemnym noclegu wyszliśmy w dalszą drogę ułożoną przez p. Profesora. Ze schroniska z powrotem do Wodogrzmotów Mickiewicza i dalej prosto Doliną Roztoki wzdłuż potoku Roztoka z planowanym dotarciem do Doliny Pięciu Stawów Polskich i przejściu obok Siklawy.

Pogoda cały czas była fatalna. Deszcz padał bez przerwy, potok Roztoka huczał od wezbranej wody. Czasem tylko pomiędzy przerwana mgłą mogliśmy zobaczyć skalne zerwy Wołoszyna po prawej stronie. Po przejściu ok. dwóch trzecich trasy napotkaliśmy przy szlaku szałas góralski, który zapewnił schronienie przed deszczem. Pan Profesor podjął decyzję, że nie pójdziemy dalej do schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, tylko zanocujemy w tym szałasie. Była to do dzisiaj niezapomniana noc. W szałasie była zbita z desek prycza wyścielona uschniętymi już gałęziami jedliny. Na środku było otoczone kamieniami miejsce na ogniska. Szalasz pomieścił nas wszystkich wygodnie. Z tych suchych gałęzi p. Profesor rozpałił ognisko i każdy znalazł wygodne miejsce do odpoczynku. Pamiętam jak pięknie p. Profesor opowiadał o swoim życiu, siedząc blisko ognia. Odpowiadał na różne pytania zadawane przez nas. Noc w tym szałasie była niezapomnianą wakacyjną przygodą.

Nad ranem deszcz się zmniejszył i mogliśmy wyruszyć w dalszą drogę do Doliny Pięciu Stawów Polskich. Szlak prowadził obok Siklawy, która jest największym wodospadem w Polsce. Gdy dotarliśmy do schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Polskich rozlokowaliśmy się w dużej zbiorowej sali i jeszcze tego samego dnia, aby nie tracić czasu p. Profesor zaprowadził nas wzdłuż wszystkich stawów do słynnej przełęczy Zawrat. Był to dzień ulgowy: z Zawratu wróciliśmy do schroniska na wypoczynek.

Następnego dnia plan p. Profesora był bardzo ambitny.

Po wyjściu ze schroniska szlakiem przez Świstówkę dotarliśmy do Morskiego Oka. Deszcz już nie padał i mogliśmy podziwiać ogrom tatrzańskich szczytów wokół jeziora. Od schroniska nad Morskim Okiem poszliśmy do Czarnego Stawu pod Rysami. Tam był odpoczynek i podziwianie gór. Nieco w głębi Rysy, najwyższy szczyt w Polsce 2499 m n.p.m. (Na Rysach byliśmy z Ryszardem Jaworzem – Dutką przyszłym kapitanem LOT i jego kolegą z Kielc kilka lat później). Naszą uwagę najbardziej przyciągnęła bardzo charakterystyczna iglica skalna: Chłopka nad Miękuszowiecką Przełęczą.

Z jednym z kolegów pomyśleliśmy sobie, że: niech grupa tu odpoczywa, a my w tym czasie pójdziemy do Chłopka, aby zobaczyć go z bliska. Na szczęście uszliśmy ok. 100 m pod górą (tam prowadzi szlak turystyczny), gdy p. Profesor zorientował się, co się stało. Wołaniem nas zatrzymał i dogonił nas niebawem. Był to z naszej strony nieodpowiedzialny krok, teraz o tym wiemy, ale wtedy nie. O wspaniałym charakterze p. Profesora świadczy fakt, że jedyną karą za ten wybryk było stwierdzenie: „*teraz będziecie szli na końcu grupy*”. Tak też się stało. Po powrocie do Morskiego Oka, trasa określona przez p. Profesora prowadziła tzw. Ceprostradą po stokach Miedzianego do Szpiglasowej Przełęczy. Podczas wędrowki mogliśmy podziwiać, jak słynna skalna iglica Mnich, która groźnie wnosi się nad Morskim Okiem od tyłu zmienia się w niepozorny stożek.

Po drodze był Szpiglasowy Wierch i przez Szpiglasową Przełęcz wróciliśmy do schroniska w Dolinie Pięciu Stawów Polskich.

Gdy pogoda zrobiła się słoneczna, odkryliśmy jak opisuje to pani Zofia, że główną zawartością plecaka p. Profesora był aparat fotograficzny lustrzanka i statyw. Widoki, które p. Profesor uznał za ciekawe, fotografował swoim aparatem zawsze na statywie. Każde zdjęcie pieczołowicie ustawiał i komponował.

Następnego dnia trasa prowadziła z Doliny Pięciu Stawów Polskich, przez przełęcz Krzyżne do schroniska w Hali Gąsienicowej. Podejście po stoku Wołoszyna na Krzyżne jest bardzo strome i wyczerpujące. Tutaj również p. Prof. ustawiał aparat i na krótkim statywie komponował swoje panoramy Tatr. Po dojściu do schroniska Murowaniec na Hali Gąsienicowej,

jeszcze zaprowadził nas na przełęcz Karb pomiędzy Małym i Dużym Kościelcem. W drodze mijaliśmy pomnik Mieczysława Karłowicza, ustawiony w miejscu, gdzie zginął pod lawiną śnieżną.

Rano po noclegu w Murowańcu znowu trasa była bardzo ambitna z powodu swojej długości. Z Hali Gąsienicowej znana prawie wszystkim narciarzom trasą weszliśmy na Kasprowy Wierch. Dalej prosto granią przez Goryczkową Czubę, Kopę Kondracką na Giewont. Wtedy jeszcze nie było takich tłumów na tej górze i bez kłopotu weszliśmy na szczyt ze słynnym krzyżem. Z Giewontu Doliną Małej Łąki zeszliśmy do Zakopanego. W mieście pierwsze zakupy były żywnościowe po tak pięknej sześciodniowej wycieczce. Z Zakopanego pociągiem wróciliśmy do Limanowej.

Opisałem tę wspaniałą wycieczkę tak szczegółowo, aby pokazać jak wytrawnym i doświadczonym turystą był p. prof. Józef Staniszewski. Wszystko pedantycznie zaplanowane z uwzględnieniem możliwości uczniów z „ogólniaka”. Dzięki p. Profesorowi zobaczyliśmy wszystkie ważne miejsca w Tatrach w ciągu sześciu dni.

Z Profesorem uczestniczyłem jeszcze w innych wycieczkach: m.in. do Ojcowa, a także w Beskid Wyspowy. Uczestniczenie w tych wycieczkach było dla nas uczniów zawsze wielkim, wspaniałym przeżyciem. Sposób organizacji tych wycieczek świadczył o dużej pasji turystycznej p. Profesora oraz o jego wielkiej znajomości wszystkich szlaków i gór tych bliskich i tych dalekich. Zawsze z aparatem fotograficznym w plecaku.

Gdy p. Profesor był już na emeryturze, nadal uprawiał swoją turystykę i fotograficzną pasję. Świadczy o tym duży zbiór Jego fotografii, które znajdują się Muzeum Regionalnym Ziemi Limanowskiej.

W roku 1978 p. Profesor przeprowadził się do własnego mieszkania w bloku przy ul. Fabrycznej. Mieszkanie było typową kawalerką. Wnętrze mieszkania było bardzo starannie i estetycznie urządzone. Na półkach książki i drewniane figurki autorstwa p. dr. Zbigniewa Hłynia. Wszystko znajdowało się w pedantycznym porządku.

Pan Profesor bywał również gościem w naszym domu. Stałą okazją do wizyt w naszym domu były imieniny rodziców, podczas których wśród wielu gości był również p. prof. Józef Staniszewski.



Był niegdyś dumą, ale i zmartwieniem

Stanisław Ociepka

Jedni byli dumni z oryginalnego stylowego Zajazdu, który wybudowano w Limanowej – Sowlinach, gdzie należycie można było podejmować gości i propagować turystyczny charakter naszego miasta.

Inni mieli żal, bowiem teren na którym została wybudowana karczma był brany pod uwagę przez społeczeństwo Sowlin jako jeden z wielu placów, gdzie miał stać kościół.

Decyzją ówczesnych władz stało się inaczej. U zbiegu ulic Lipowej i Krakowskiej na tzw. „Michurówce” powstał zajazd turystyczny. Był przykładem przeniesienia dawnej architektury dworskiej w czasy współczesne. Zbudowano go w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia. Drewniany, swoim układem i sylwetką nawiązywał do zabytkowego dworu alkierzowego w Świdniku.

W latach siedemdziesiątych Limanowa była w polu zainteresowania całej Polski (tzw. „lata sławy”). W 1972 r. w ogólnopolskim konkursie miasto nasze zdobyło tytuł „Krajowy Mistrz Gospodarności”. Zaś w czerwcu w 1977 r. w telewizyjnym pojedynku Limanowa zmierzyła się ze Skoczowem w tzw. „Banku 440”, który zainaugurował rozgrywkę w kraju, transmitowane bezpośrednio na antenie ogólnopolskiej telewizji. Wygrana uczyniła Limanową miastem rozpoznawalnym w kraju. Jak więc było przyjmować gości bez zapewnienia im odpowiedniego, godnego i atrakcyjnego miejsca? Taką regionalną gospodą stał się zajazd, który oddano do użytku w 1977 roku. Pierwszych gości przyjęto w zajeździe w 1978 r.

Powstał na zlecenie Miejskiej Spółdzielni Zaopatrzenia i Zbytu pod dowództwem ówczesnego prezesa Bronisława Tokarczyka. Projektantami byli: Krzysztof Białka i Leszek Sułkowski, inżynierowie z zespołu architektonicznego kierowanego przez inż. Jana Buzka.

W pobliżu zajazdu na placu za rzeką (dzisiaj parking) miał powstać mini skansen, którego atrakcją reklamową

miał być zabytkowy wiatrak usytuowany tuż przy zjeździe z ulicy Krakowskiej na drogę prowadzącą do karczmy przez drewniany mostek na rzece Sowlince, który dobrze uzupełniał architekturę karczmy. Pomimo że była przygotowana koncepcja, zamysł owego skansenu nigdy nie został zrealizowany.

Karczmę zaprojektowano na rzucie prostokątnym z kwadratowymi alkierzami na każdym narożu. Od strony południowej dobudowane było skrzydło, w którym mieściło się zaplecze gastronomiczne. Ściany wykonano z bali drewnianych łączonych na zrąb. Uszczelnienie pomiędzy balami wypełniono warkoczami ozdobnymi. Dach czterospadowy pokryty został



tradycyjnym gontem, zaś daszki na alkierzach miały kształt ostrosłupów. W połaci dachu celem doświetlenia pomieszczeń na poddaszu wykonano jaskółki oraz wole oczka. Przed elewacją frontową zrobiono podcień podparty drewnianymi słupami, do którego prowadziły kamienne schody. Po przekroczeniu drzwi wejściowych wchodziło się do reprezentacyjnego holu, którego głównym elementem wystroju był okazały bar z ladą. Obok usytuowane były schody drewniane na poddasze, gdzie mieściła się część hotelowa.

W zajeździe znajdowało się pięć sal. W salach alkierzowych: myśliwskiej, rycerskiej, weselnej, bankietowej i ogólnej mogło zasiąść 250 konsumentów i podziwiać stylowe góralskie meble, lampy, kinkiety – dzieło Edwarda Pintschera i jego synów z Rabki oraz artystyczne wyroby: kowalskie, rymarskie, snycerskie, kołodziejskie zakopiańskich mistrzów. W głównej sali zajazdu, panneau według własnego projektu wykonała Małgorzata Palińska (Ociepkówna) – córka Tadeusza znanego limanowskiego artysty malarza. Panneau przedstawiało scenę spotkania młodych ludzi, przedstawicieli różnych regionów Ziemi Limanowskiej.

Przez wiele lat nad miejscem tym wisiało fatum. Drewniana karczma całkowicie spłonęła nocą 27 kwietnia 1979 roku. Po pewnym czasie zajazd odbudowano murowany, zupełnie w innym stylu, który do dnia dzisiejszego nie jest zagospodarowany. Wydaje się, iż najwłaściwszym współczesnym rozwiązaniem zagospodarowania od lat niewykorzystanego obiektu byłaby jego adaptacja na Dom Seniora.

Dziękuję arch. Leszkowi W. Pilawskiemu za konsultacje związane z opisem architektonicznym zajazdu.

Fot. arch. albumu „Okruchy pamięci”



Historia ZNP w powiecie limanowskim – okres po II wojnie światowej – cz.3

W poprzednich dwóch kolejnych wydaniach „Echa Limanowskiego” przedstawiliśmy historię ZNP w powiecie limanowskim w okresie galicyjskim – cz. 1 oraz w latach międzywojennych i okupacji – cz. 2. Zaprezentowaliśmy również postać Stanisława Ceglarza, autora historii Związku. Aktualnie dokument ten w rękopisie pozostaje w aktach współczesnych władz ZNP w Limanowej.

Obecnie prezentujemy kolejny, ostatni już, okres działalności tej organizacji nauczycielskiej obejmujący lata po II wojnie światowej do 1964 roku.

Dnia 19 stycznia 1945 r. został wyzwolony spod okupacji hitlerowskiej powiat limanowski. Jeszcze w zakątkach leśnych toczyły się walki z pozostałymi resztkami armii hitlerowskiej, a już w ostatnich dniach stycznia zebrali się pozostali w powiecie członkowie Zarządu Oddziału Powiatowego na pierwszym posiedzeniu. Byli to: *Antoni Górszczyk* – prezes, *Stanisław Ceglarz* – skarbnik i członkowie Zarządu: *Franciszek Biedroń*, *Jan Kalisz*, *Franciszek Skoczeń*, *Władysław Wójcik*. Na zebraniu tym ustalono program działania na najbliższy okres.

Własnego lokalu nie było, sprzęty wraz z księgozbiorem bibliotecznym trzeba było gdzieś zgromadzić, gdyż na czas okupacji zostały rozebrane do przechowania przez członków Związku zamieszkałych w Limanowej. Organizacja znalazła chwilowo pomieszczenie w budynku szkoły

podstawowej w Limanowej, a zebrania Zarządu Oddziału odbywały się w lokalu Inspektora Szkolnego. Dzięki tej współpracy została zorganizowana rozdzielnia produktów i materiałów szkolnych, nad którą objął patronat Związek. Przewodniczącym Zarządu Rozdzielni i Komisji Rozdzielczej był *Józef Bednarz*, kierowniczką zaś *Franciszka Ceglarz*, z którą współpracowała *Maria Wójcik*.

Przez zorganizowanie tej placówki zostało nauczycielstwo zaopatrzone w najkonieczniejsze produkty i materiały, których nie można było nabyć w tych trudnych powojennych miesiącach. Przy reaktywowaniu Związku powstały dawne dwa Ogniska z siedzibami w Limanowej i Mszanie Dolnej. Na czele Ogniska w Limanowej stanął dawny jego prezes *Franciszek Skoczeń*, a w Mszanie Dolnej *Franciszek Lachowicz*.



Stanisław i Franciszka Ceglarzowie

Przy organizowaniu pierwszej Powiatowej Rady Narodowej Związek bierze czynny udział i wprowadza dzieło swych członków w skład tej Rady. Dzięki tej czynnej współpracy, szkoły uzyskały wydatną pomoc przy podjęciu nauki i remontach budynków szkolnych.

W pierwszych początkach swej działalności Zarząd Oddziału skierował cały swój wysiłek na polepszenie warunków bytowania nauczycielstwa i zaopatrzenie szkół w potrzebne materiały i przybory szkolne. Przez zwiększenie się liczby członków w naszej organizacji spowodowanej podnoszeniem stopni organizacyjnych szkół, zwiększeniem się etatów nauczycielskich, trzeba było postarać się o własny lokal dla Zarządu Oddziału i Ogniska w Limanowej. Dzięki Janowi Kaliszowi, u którego zwolnione zostało mieszkanie, Zarząd Oddziału po dokonaniu najkonieczniejszego remontu ulokował swą siedzibę Związkową, do której wprowadził pozostały swój sprzęt i uratowany księgozbiór.



Zakończenie roku szkolnego 1956/57 (rocznik 1943). Pośród młodzieży stoją nauczyciele: ks. Jan Rachwał, Aleksandra Kozłeczka, Franciszka Ceglarz i Franciszek Bogacz.



Budynek Domu Nauczyciela - stan surowy. Oddany do użytku 30 kwietnia 1961 roku.

W tym czasie prezesem Zarządu Oddz. Powiat. był Stanisław Ceglarski. W roku 1949 zostały zorganizowane ZOZ i MOZ i równocześnie Kasa Zapomogowo- Pożyczkowa.

Podczas wyborów w 1950 r. prezesem Zarządu Oddziału został Władysław Wójcik. Praca Zarządu skierowana została na rozwinięcie życia kulturalno-oświatowego wśród członków związku.

Ponieważ po zmarłych i zaginionych członkach naszej organizacji pozostały sieroty i wdowy nie pracujące na wniosek MOZ Szkoły Podstawowej Nr 1 w Limanowej utworzony został 1951 roku

„Fundusz Wdów i Sierot” z dobrowolnie zadeklarowanych składek nauczycielstwa całego powiatu z którego korzystało 17 osób. Dzięki tej koleżeńskiej pomocy nauczycielstwo dopomogło sierotom w ukończeniu szkół i zdobyciu zawodów, a wdowom polepszyło byt materialny. Obecnie służy także pomocą kolegom i koleżankom emerytom starego portfela. Powraca życie kulturalno – oświatowe w powiecie dzięki pracy nauczycieli i powstają różne zespoły artystyczne organizowane jako regionalne w Dobrej, Kamienicy, Szczyrzycu i Zalesiu.

W roku 1952 prezesurę Zarządu Oddziału Powiatowego obejmuje Józef Waligóra. Wraz z nowo wybranym Zarządem kontynuuje rozpoczęte prace przez poprzednie Zarządy.

Ponieważ w pracy Zarządu Oddz. napotymano na pewne trudności, w roku 1953 wybrano Tadeusza Budacza prezesem Zarządu.

W związku ze zbliżającym się jubileuszem 50. rocznicy powstania związku zostają zorganizowane przy Oddz. Powiat. dwa zespoły artystyczne: chóralny i muzyczny, których kierownictwo objął Jan Grzywacz. Zespoły te odbywały swe zajęcia w szkole podstawowej w Limanowej i wystąpiły w części artystycznej uroczystości 50. rocznicy, która miała miejsce 9 czerwca 1955 r.

Z powodu płynności kadr w tutejszym powiecie zespoły te przestały istnieć w 1956 roku i mimo usilnych starań nie można było tej pracy ponownie uruchomić.

Dzięki usilnym staraniom Tadeusza Budacza jako prezesa Zarządu Oddz. postanowiono rozpocząć starania o budowę

własnego „Domu Nauczyciela”, w którym można by pomieścić biura Zarządu, mieć własne pokoje noclegowe, sale zebrania i jakieś zaplecze na prace kulturalno – oświatowe.

Po usilnych staraniach Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Limanowej uchwałą z dnia 11 września 1956 r. przydzieliło parcelę i obiecało pomoc finansową przy budowie tego domu. Nauczycielstwo dobrowolnie opodatkowało się i gromadzono fundusze, którymi rozpoczęto budowę, gromadząc materiały, a po uzyskaniu pierwszej dotacji z Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Limanowej przystąpiono do budowy w zakresie gospodarczym. Ponieważ napotymano na trudności w zakupie materiałów, Zarząd oddziału zmuszony był oddać dalszą budowę przedsiębiorstwu. Dzięki SFOS i Zarządu Głównego ZNP i życzliwemu ustosunkowaniu się Prez. Pow. Rady Narodowej, a w szczególności jej przewodniczącego Zbigniewa Macury został wybudowany własny budynek, do którego wprowadził się Zarząd Oddziału 30 kwietnia 1961 r.

Uzyskanie własnego budynku rozwiązało wszelkie trudności i stworzyło ośrodek całej działalności organizacyjnej. Własny budynek dopomaga w organizowaniu dalszego doskonalenia i szkolenia kadr oświatowych, urządzania wszelkiego typu krótszych i dłuższych konferencji powiatowych a nawet centralnych oraz możliwości organizowania różnych form pracy kulturalno-oświatowych.

To też ponownie uruchomiono w 1962 r. zespół wokalny-muzyczny, który rozwinął swą działalność dzięki pomocy Zarządu Głównego przez ofiarowanie pianina i niektórych instrumentów muzycznych. Wprawdzie zespół ten nie jest bardzo liczny, ale dzięki kierownikowi tego zespołu Janowi Jarończykowi i rzetelnej pracy członków, zespół ten miał szereg występów na różnych uroczystościach organizacji społecznych, konferencjach rejonowych, własnych wystąpieniach artystycznych i nawet wyjazdach z repertuarem do Krakowa.

Ocena działalności naszej organizacji zawodowej z perspektywy blisko sześćdziesięciu lat potwierdza pod każdym względem, że warunki dla realizacji postępowych dążeń nauczycielstwa stają się coraz lepsze.

Stanisław Ceglarski

Limanowa 2 maja 1964 r.

Fot.: arch. albumu „Okruchy pamięci”



Budynek Szkoły Powszechnej w Limanowej z okresu powojennego.

Kanadyjczyk i Szkot spod Mogielicy

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku, w Ameryce Północnej swój renesans przechodziło kino wojenne, zapoczątkowane przez głośny film Stevena Spielberga „Szeregowiec Ryan”. Po latach, wielu żołnierzy alianckich swój zaciąg do wojska oraz udział w wojnie, snując opowieści, motywowało pobudkami patriotycznymi, poświęceniem za kolegami, ponieważ nie wypadało wycofać się gdy ojczyzna była w potrzebie. Żołnierze aliantów zachodnich to nie tylko od czerwca 1944 r. front zachodni w Europie. Na terenach państw okupowanych przez III Rzeszę pojawiali się inni niezapowiadani goście. Byli to zazwyczaj jeńcy alianccy, lotnicy brytyjscy, amerykańscy lub Kanadyjczycy. Zestrzeleni nad III Rzeszą lub Generalnym Gubernatorstwem, więzieni w obozach dla jeńców wojennych, nieliczni szukali wyjścia z opresji w ucieczce na południe. Czy można było przejść „suchą stopą” wśród kraju zniewolonego przez niemieckiego okupanta, gdzie ludność posługuje się nieznanym językiem, a na każdym rogu czai się niebezpieczeństwo denuncjacji? Przykładem działalności wbrew wszelkim przeciwnościom jest niezwykła historia kanadyjskiego lotnika Huberta Brooksa, który w latach 1943-1945 „gościł” na Ziemi Limanowskiej.



Anglia 1941 r. przedostatni Hubert Brooks.

Urodził się 29 grudnia 1921 roku w Bluesky k. Alberty w odległej Kanadzie, wchodzącej w skład imperium brytyjskiego. W dobie wielkiego kryzysu pogłębiająca się fatalna sytuacja materialna zmusiła rodzinę Brooksów do migracji zarobkowej do stolicy kraju Ottawy a następnie do Montrealu. Jednym z niewielu zajęć, które odrywały od monotonii codziennego życia młodego Huberta, była gra w hokeja. Sport narodowy Kanadyjczyków okazał się przeznaczeniem Brooksa, ale na poważne wyniki przyszło mu czekać dopiero do roku 1948 r.

3 września 1939 r. Francja i Wielka Brytania wobec agresji III Rzeszy na Polskę, wypowiedziały Niemcom wojnę. Kanada automatycznie stała się stroną w konflikcie,

będąc częścią brytyjskiego imperium. Ogłoszono nabór do kanadyjskich sił zbrojnych w tym lotnictwa. W lecie 1940 r. niespełna 19 letni Brooks zgłosił się na ochotnika do służby w kanadyjskich siłach powietrznych¹. Służył jako szeregowiec w rezerwie specjalnej stanowiącej bezpośrednie kadrowe zaplecze dla kanadyjskiego lotnictwa. W ciągu roku Hubert odbył szereg szkoleń, które umożliwiły mu uzyskanie stopnia nawigatora-bombardiera. W drugiej połowie 1941 r. został oddelegowany do Wielkiej Brytanii, do służby szkoleniowej w Dywizjonie Bombowym 419. Na wiosnę 1942 r. nadszedł sprawdzian umiejętności młodego nawigatora. W jednej z pierwszych misji w nocy z 8 na 9



Hubert Brooks w czasie pobytu w Anglii. 1941 r.

kwietnia, załoga bombowca Wellington wraz z Brooksem została zestrzelona nad terytorium III Rzeszy². Ocalały z katastrofy Kanadyjczyk został aresztowany w rejonie Oldenburga i odesłany do niewoli, do obozu przejściowego dla lotników. Wraz z innymi jeńcami Brooks znalazł się w obozie DuLag Luft³ w Oberursel na przedmieściach Frankfurtu nad Menem. Obóz służył jako miejsce przejściowe, gdzie zdecydowano o dalszych losach jeńców. Lotnicy byli przesłuchiwani przez niemiecki wywiad Abwehre, a następnie otrzymywali numer oraz przydzielano do obozu jenieckiego. Kanadyjczyk został przewieziony do Stalagu VIIIB w Lamsdorfie (Łabinowicach) koło Opola na Śląsku. Od początku w głowie Huberta tliła się nadzieja na ucieczkę. Początkowo działał sam, następnie starając się współpracować z grupą kilku jeńców. Po wojnie w swoich wspomnieniach zawarł przeżycia z czasu pobytu w obozach jenieckich (...) *Nie jest łatwym dla osób, które nigdy nie były więźniami, zrozumieć problem ucieczki. Ludzie wyobrażają sobie, że schwytywany człowiek automatycznie pragnie uciec i że jedynie*

Obelisk Lotników Alianckich

W drugiej połowie 1944r. w rejonie Mogielicy dowództwo 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK, zgromadziło pilotów alianckich, uratowanych z zestrzelonych samolotów lecących na pomoc powstańcom warszawskim.

Wśród ocalałych znaleźli się piloci:

- Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej
- Wielkiej Brytanii
- Kanady
- Republiki Południowej Afryki

W sposób szczególny w walkach na terenie Beskidu Wyspowego i Górców zasłużył się:

Kanadyjczyk -
pilot R.A.F, ppor. AK - Hubert Brooks ps. „Jubelt”

Szkot, sierżant -
John Duncan ps. „John”

Cześć Ich Pamięci!

SRH 1. PSPAK

Słopnice, 20-21 września 2014 r.

Obelisk poświęcony lotnikom alianckim oraz upamiętnieniu pierwszego zrzutu na Dzielecu - placówce Sójka 401 [Fot. Janusz Jurowicz]

*fizyczne trudności uniemożliwiają mu realizację tego. Nie jest to prawda. Jedynie niewielki odsetek jeńców wojennych podejmowało próby ucieczki: prędzej czy później większość pojmanych akceptuje niewolę i próbuje pozostać radosnymi tak długo jak jest to możliwe. Niewiele jest ludzi, którzy nie mają żadnych wątpliwości co do tego co powinni zrobić. Dla nich niewola jest nie do zniesienia i od początku myślą jedynie o ucieczce, ale dla zdecydowanej większości trudności często wydają się nie do pokonania i argumenty do odkładania próby ucieczki przytłaczają(...)*⁴. Z obozu było trudno się wydostać, ponieważ jego usytuowanie z góry przekreślało realne szanse na ocalenie w trakcie ucieczki. Obóz położony był prawie w sercu uprzemysłowionego zagłębia węglowego. Dotarcie do granicy III Rzeszy w którymkolwiek kierunku wydawało się niemożliwe.

Nazywam się Fred Cole

Brooks szybko zdecydował, że będąc żołnierzem będzie starał się szukać wyjścia z sytuacji za wszelką cenę. Potrzebował możliwości łatwego opuszczenia obozu, ale nie mógł tego zrobić ze względu na zakaz opuszczania obozów



Koncentracja żołnierzy Obwodu AK Limanowa w rejonie Mogielica-Dzielec. Lato 1944r. Od Lewej: Hubert Brooks „Jubelt”, kpt. Julian Krzewicki „Filip” [Fot. J. Krzewicki]

dla oficerów i podoficerów od stopnia sierżanta wzwyż. Kanadyjczyk w czasie wolnym od pracy zamienił się mundurem oraz danymi osobowymi z szeregowcem nowozelandzkiej armii, odtąd nazywał się Frederick Cole. Pierwszą nieskuteczną próbę ucieczki podjął wraz z polskim lotnikiem Józefem Krawcem. W czerwcu 1942 r. uciekł w trakcie pracy w kopalni węgla i przedostał się przez wschodnią granicę III Rzeszy. Aresztowany w Krakowie, powrócił do Stalagu w Łabinowicach. Kolejne próby ucieczek kończyły się sporymi konsekwencjami, w tym ciężkim

po biciem. Ostatecznie po roku pobytu w obozie, w maju 1943 r. Hubert Brooks uciekł wraz z sierżantem piechoty górskiej, Szkotem, Johnem Duncanem⁵. Jedyną szansą na przetrwanie było nawiązanie jeszcze w obozie kontaktów z polskim podziemiem – Armią Krajową. Dzięki AK, Brooks i Duncan zostali przerzuceni na teren Generalnego Gubernatorstwa. W rejonie Częstochowy dostali się w szeregi struktur konspiracji, dzięki adresowi podanemu przez polskiego lotnika jeszcze w czasie pobytu w niemieckim obozie. ▶



Żołnierze Oddziału Partyzanckiego AK „Wilk”, od lewej: NN., por. Szymon Pyrc „Jaskółka”, NN., por. Hubert Brooks „Jubelt”, por. Jan Cieśla „Maciej” (z tyłu), por. Krystyn Więckowski „Zawisza”, dr Tadeusz Ptak „Olszyna”, por. Jan Stachura „Adam”. Wyrębiska na Zalesiu, lato 1944 r. [Fot. J. Krzewicki]

► Służba na Podhalu

Po ustaleniu tożsamości uciekinierów, żołnierze zostali poinformowani, że nie ma technicznej możliwości powrotu do rodzimych jednostek alianckich. Do wyboru mieli ukrywanie się i ciągłą zmianę lokali, wstąpienie do konspiracji na terenie miasta lub przejście na południe w polskie góry do powstających oddziałów partyzanckich AK. Brooks i Duncan zostali skierowani do powstającego, największego oddziału AK w Gorcach. Wcześniej czekała ich jednak droga przez krakowskie wsie i miasteczka. (...) *Spędziliśmy denerwujący dzień unikając patroli ulicznych w Krakowie, tak iż wydawało się, że odwieździśmy wszystkie podziemne kryjówki. W Gorcach, oddział por. Władysława Szczypki „Lecha” właśnie stracił swojego dowódcę⁶. Komendę przejął bliski kolega poprzedniego dowódcy, por. Jan Stachura „Adam”. Zachowała się ciekawa relacja w jaki sposób dwaj uciekinierzy trafili do gorczańskiego oddziału. Wysyłając kilka patroli do strzeżenia dróg, „ADAM” wysłał również jeden patrol na ubezpieczenie drogi z kierunku Kamienicy i Szczawy do Lubomierza. Ten patrol, złożony z kilku ludzi, spotkał dwóch włóczęgów, którzy szli górską dróżką polną na Łętowe, czyli wprost na miejsce postoju oddziału „ADAMA”. Zatrzymali tych ludzi, zrewidowali, nic przy sobie nie mieli. A co gorsze, nie mogli się z nimi porozumieć. Mówili obcym językiem. Zrozumieli tylko słowa: „Kanadian i Britisz” [pisownia oryginalna – przyp. P.B](...)Przyprowadzili*



Wyrębiska na Zalesiu. Od lewej: Hubert Brooks „Jubelt”, dr Tadeusz Ptak „Olszyna”, John Duncan „John” [Fot. J. Krzewicki]

ich do obozu, czyli zrobili to, czego nie powinni byli zrobić. Mówili oni po angielsku i po niemiecku. Cóż się potem okazało? Jeden był oficerem kanadyjskim, oficerem lotnictwa, a drugi podoficerem szkockim, sierżantem⁷. Oddział por. „Adama” stacjonował w rejonie Łętowego na Kobylicy (949 m n.p.m.). Cała historia omal nie zakończyła się tragedią, gdyż

przyprawdzeni obcokrajowcy wprowadzili znaczne poruszenie wśród partyzantów. Żołnierze wraz z gośćmi zaczęli próbować dopiero co wyczyszczoną broń. Jeden ze strzałów szczęśliwie ominął dowódcę oddziału, odpoczywającego w stodole. W szeregach oddziału Anglicy (jak ich nazywano) otrzymali pseudonimy Brooks – „Jubelt”, a Duncan „John”. Tak pod koniec 1943 r. młody Kanadyjczyk charakteryzował spotkanie z polskimi partyzantami w gorczańskich lasach: *Partyzancką kryjówkę, do której przybyliśmy stanowiła ziemianka na zboczu wzgórza i większość z 40 żołnierzy AK siedziała tam i jadła kolację, kiedy przybyliśmy, wytrzeszczyliśmy oczy na widok jedzenia przed nami. Musiał zawierać co najmniej dwa funty gulaszu wołowego. Po naszej stałej diecie złożonej z czarnego chleba, było to niesamowite święto. „Możemy żyć na wieki wieków”, zawołałem! – „Będziesz zmęczony mięsem wkrótce”, odpowiedzieli partyzanci i było to prawdą, gdyż otrzymywaliśmy mięso w każdym posiłku, wołowinę, dziczyznę i wieprzowinę⁸. Późną jesienią 1943 r. dowództwo nad oddziałem przejął por. Krystyn Więckowski „Zawisza”. Żołnierze stacjonowali wówczas w ziemiankach na Czerwonym Groniu⁹. Uzbrojenie oraz*



Koncentracja w rejonie Mogielica-Dzielec. Lato 1944r. Od lewej: ppor. Jan Grzywacz „Skryty”, Hubert Brooks „Jubelt”, por. Bronisław Humenny „Antek”, kpt. Julian Krzewicki „Filip”, ppor. Władysław Wietrzny „Dęboróg” [Fot. J. Krzewicki]

kondycja psychiczna żołnierzy dawała młodemu żołnierzowi wiele do myślenia. (...) Oddział, do którego dołączyliśmy, ubrany był w dziwny asortyment odzieży i fragmenty mundurów. Posiadali oni pojedynczy archaiczny karabin maszynowy, parę strzelb dubeltowych oraz: garść zawodnych rewolwerów i granatów, co stanowiło ich całe uzbrojenie. Byli wśród nich [partyzantów – przyp. P.B] absolwenci uczelni i chłopcy z gospodarstw z pobliskiej doliny, zawodowi żołnierze i cywile z miasta ¹⁰.

Wybrali walkę w górach

„Jubelt” i „John” szybko stali się sensacją na pograniczu Beskidu Wyspowego i Gorców. Często bywali gośćmi na różnych kwaterach np. z okazji świąt Bożego Narodzenia. 28 grudnia 1943 r. doszło do rozbitcia obozu OP „Wilk” na Czerwonym Groniu. Na początku 1944 r. obcokrajowcy wzięli udział w odtwarzaniu gorczańskiego oddziału. Brali udział w wielu akcjach dywersyjnych w pierwszej połowie 1944 r. M.in. 19 lutego 1944 r. w rozbitciu posterunku policji w Ochotnicy Dolnej oraz dwa dni później w potyczce z Niemcami na przełęczy Przysłop (832 m n.p.m.) w Beskidzie Sądeckim. Wczesną wiosną udział w akcji związanej z likwidacją volksdeutscha Hansa Sikory w Jazowsku k. Łącka. Latem 1944 r. Brooks i Duncan znaleźli się w rejonie Mogielicy, gdzie odbywały się koncentracje i ćwiczenia wszystkich placówek Komendy Obwodu AK Limanowa oraz OP „Wilk”. Na fotografiach zrobionych aparatem kapitana Krzewickiego „Filipa” zostali uwiecznieni żołnierze w czasie ćwiczeń z bronią otrzymaną ze zrzutu na Dzielcu w Słopnicach w lipcu 1944 r. Na fotografiach kilkakrotnie pojawia się postać Huberta Brooksa, który pomaga czyścić broń. Najwięcej fotografii z czasu działalności partyzanckiej „Jubelta” i „Duncana” zachowało się z lata 1944 r.

Żołnierz i elegant

W czasie koncentracji i ćwiczeń większość partyzantów miała się okazję spotkać ze sobą. Choć znali się przeważnie tylko z pseudonimów, to Kanadyjczyka i Szkota wszyscy rozpoznawali na odległość. Tak ich charakteryzował żołnierz OP „Wilk”, Julian Tomecki „Brzoza”: (...) *John to był taki człowiek, miałem czapkę narciarską przedwojenną na głowie i przyszyłem sobie orzełka, no i „Johna” to wkurzyło. Zabrał mi tę czapkę położył*



Zima 1944r. Od lewej: Hubert Brooks „Jubelt”, ks. Hubert Kostrzański „Mirt” [Fot. J. Krzewicki]

*na pniaku, wziął sobie mannlichera i strzelił w tego orzełka. To był John... (...) Później na akcjach miałem go [orzełka-przyp. P.B] naszytego na furazerce, rogatywce – nie było go tak bardzo widać jak na narciarskiej czapce ¹¹ (...) U Brooksa, nigdy nie widziałem żeby miał przy sobie broń, to był elegant jak na warunki partyzanckie, zawsze dobrze ubrany i uśmiechnięty. Jak żeśmy robili akcję u Sikory [Hans Sikora – przyp. P.B], to ten [Hubert Brooks] dorwał taki duży radioodbiornik i targał go na plecach ze sobą na nasz postój, radio chciał sobie w lesie posłuchać (...) ¹². Warto dodać, że John Duncan przeważnie był wykorzystywany w czasie służby wywiadowczej i patroli rozpoznawczych. Po kilku miesiącach pobytu, świetnie orientował się w terenie. O wrażeniu, jakie odniósł po pierwszym spotkaniu z obcokrajowcami, wspominał Tadeusz Czech „Wicek”: (...) *Po śniadaniu nauka broni, najczęściej ćwiczenia z karabinem i ze zdobyczym we Wierchomli niemieckim LKM-em. Najbardziej sprawnym okazał się – nie dziwota – rudy Szkot, sierżant angielskich wojsk kolonialnych, mister Dżon, [pisownia oryg. – przyp.**

P.B.] jak go nazywaliśmy. Po paru miesiącach przebywania między polskimi chłopakami nauczył się paru słów polskich, ale więcej rozumiał niż mówił. Po polsku klął bez zarzutu ¹³.

U kresu okupacji

Latem 1944 r. alianccy żołnierze brali udział w zbrojnych akcjach skierowanych przeciwko Niemcom. Pod koniec lipca doszło do szeregu działań partyzanckich (Akcja „Burza”) na obszarze całego Inspektoratu AK Nowy Sącz „Niwa”. Brooks i Duncan brali udział m.in. w akcji na stację kolejową w Kasinie Wielkiej oraz w walkach Oddziału Partyzanckiego „Topór” por. Aleksandra Marczyńskiego „Strzebień”. W czasie walk w północno-zachodniej części Beskidu Wyspowego Brooks dowodził jednym z plutonów, mając swój udział w skutecznym wyjściu oddziału bez strat z pierścienia niemieckiego okrążenia w rejonie masywu góry Ciecien (829 m n.p.m.). Po odwołaniu akcji „Burza” na obszarze Inspektoratu, po 20 września, obcokrajowcy weszli w szeregi odtworzonego w warunkach konspiracji – 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK. ►



Hubert Brooks na spotkaniu polskich weteranów II wojny światowej w Quebec (Kanada).

► Jesienią i zimą 1944 r. w rejon stacjonowania dowództwa pułku (Szczawa) byli przekazywani lotnicy załóg alianckich samolotów, które zostały zestrzelone przez Niemców nad okupowanym krajem. Ci, którym udało się ocalić, byli przekazywani przez poszczególne placówki AK na południe na teren Beskidu Wyspowego i Górców. Lotnicy alianccy otrzymali swoją kwaterę w sąsiedztwie dowództwa pułku oraz wszelką pomoc, na jaką było stać leśną jednostkę. Szef Inspektoratu AK Nowy Sącz „Niwa”, mjr Adam Stabrawa „Borowy” poprosił o pomoc Brooksa w celu utrzymania dobrej komunikacji z lotnikami. Późną jesienią żołnierze alianccy wzięli udział w tzw. „bitwie ochotnickiej”, gdzie wspierali IV batalion kpt. Juliana Zapafy „Lamapra” w walkach z Niemcami na terenie Ochotnicy Górnej¹⁴.

Powojenna odyseja

Pod koniec 1944 r. Hubert Brooks wziął udział w organizacji zrzutowisk alianckich „Wilga 1” i „Wilga 2” na Polankach k. Szczawy w rejonie Mogielicy. Na początku stycznia 1945 r., gdy zbliżał się front, Kanadyjczyk i Szkot wzięli udział w ostatniej odsłonie działalności w szeregach 1. PSP AK, w bitwie w rejonie Szczawy w obronie magazynów materiałów pochodzących ze zrzutów alianckich. 19 stycznia została rozwiązana Armia Krajowa, w tym samym czasie mjr „Borowy” zdecydował o „urlopowaniu” żołnierzy górskiego pułku. Pod koniec stycznia, kiedy front przemieścił się na zachód, lotnicy alianccy oraz Brooks i Duncan opuścili rejon

Szczawa-Mogielica w celu ujawnienia się i dotarcia do swoich macierzystych jednostek. W drodze do Krakowa zostali zatrzymani przez Sowieców i zabrani wraz z oddziałami znajdującymi się na zapleczu frontu. Aresztowani przez NKWD zostali przewiezieni do Nowego Sącza. Po interwencji ambasady brytyjskiej odesłani do Londynu przez Lwów, Odessę, Port Said i Kair. Interesujące informacje zawarł w swoich wspomnieniach Brooks na temat tego jak wyglądało miasto Lwów na wiosnę 1945 r. (...) *Wkrótce, nasza grupa została przewieziona ciężarówką do Lwowa, gdzie zostaliśmy na kilka dni. Lwów jest wielkim miastem, a Rosjanie umiejscowili nas w jednym z najlepszych hoteli w mieście. (...) Oficerowie mieli pojedyncze pokoje, a rekruci mieli dwuosobowe pokoje (...) W rzeczywistości obsługa hotelu była polska, tak jak choćby pokojówki. Na czele hotelu był radziecki komisarz, a pod nim znajdował się polski kierownik. (...) Kiedy nadeszli kelnerzy, by nas obsłużyć, pierwsza rzecz którą tylko zamówiliśmy, to było kilka butelek najlepszej wódki. Upewniliśmy się, że nic nie będzie lepszego dla naszych „obiadowych gości”. Tak szybko jak upiliśmy żołnierzy, mogliśmy wyjść na zewnątrz, by pójść na miasto. Kilku z nas wróciło ze słodyczami, zakupionymi za pieniądze, które mieli ukryte do tej pory w przybornikach (...). W ostatnim dniu naszego pobytu we Lwowie, Rosjanie zabrali nas do teatru, byśmy obejrzeliby antyamerykańską sztukę (...)*¹⁵. Po powrocie do kraju Brooks złożył obszerny raport na temat sytuacji panującej na ziemiach polskich po wkroczeniu Sowieców.

Autorowi nie udało się ustalić powojennych losów Johna Duncana. Hubert Brooks po powrocie do kraju pracował jako oficer Missing Research and Enquiry Service, zajmując się poszukiwaniem zaginionych w czasie wojny lotników alianckich na terenie Europy. W czasie pobytu na starym kontynencie poznał swoją przyszlą żonę Birthe.

Olimpijskie złoto

Kilka lat po wojnie spełniło się jedno z marzeń Huberta – występy w reprezentacji Kanady w hokeju na lodzie. Pomimo tego, że Brooks nie był już najmłodszym zawodnikiem, został członkiem reprezentacji narodowej z racji, że po wojnie drużyny były przeważnie zasilane żołnierzami, którzy w czasie wojny uprawiali różne dyscypliny w wojskowych klubach. W 1948 r. Brooksa spotkało szczególne wyróżnienie, był chorążym reprezentacji Kanady na zimowych igrzyskach olimpijskich w St. Moritz. Na olimpiadzie zdobył złoty medal z drużyną hokeistów, pomimo że występował jako rezerwowy. Po wojnie Brooks pozostał w czynnej służbie do roku 1971, następnie podjął pracę jako administrator na Uniwersytecie w Ottawie. Zmarł 1 lutego 1984 r. na zawał serca. Został pochowany na cmentarzu w Ottawie. W Kanadzie Hubert Brooks jest uznawany za jedną z najważniejszych osób zaangażowanych w walkach na froncie II wojny światowej. Warto nadmienić, że po wojnie Brooks pomagał na emigracji wielu kolegom z Armii Krajowej, m.in. mjr. Adamowi Stabrawie. Władze PRL dopiero w roku 1958 uznały odznaczenia uzyskane przez Brooksa. Za udział w walce z niemieckim okupantem, „Jubelt” był odznaczony Krzyżem Walecznych, Krzyżem Armii Krajowej oraz Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Pamięć o zmarłym została utrwalona przez jego syna Ralpa Brooksa, na stronie <http://www.hubertbrooks.com>.

Pamięć

Niewielu spośród żyjących pamięta Kanadyjczyka i Szkota. Kiedy zbierałem relacje do artykułu, natrafiłem na kilka osób w rejonie Kostrzy, Cwilina i Mogielicy, które wspominały „mister Johna” oraz uśmiechniętego „Jubelta”. Aby ocalić ten fragment historii od zapomnienia, we wrześniu 2014 r. na polanie wzgórza Dzielec w Słopnicach została otwarta ścieżka historyczno-edukacyjna

1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK im. kpt. Juliana Krzewickiego „Filipa”. Ścieżka zawiera ponad 20 km znakowanych tras z oznakowanymi miejscami historycznymi, tablicami z historią i zdjęciami z epoki. Na polanie obok wzgórza Dzielec na zrutowisku alianckim „Sójka” został wstawiony obelisk upamiętniający lotników alianckich, którzy ponieśli śmierć nad okupowaną Polską. Na pamiątkowej tablicy zostali upamiętnieni por. Hubert Brooks „Jubełt” oraz sierż. John Duncan „John”. Od 2015 roku na zrutowisku alianckich na Dzielecu odbywa się rekonstrukcja zrzutu dla Armii Krajowej. W tym roku wydarzenie jest zaplanowane na 10 lipca. Ścieżka historyczno-edukacyjna powstała dzięki współpracy Stowarzyszenia Rekonstrukcji Historycznych – 1. Pułk Strzelców Podhalańskich AK, Gminy Słupnicze oraz Nadleśnictwa Limanowa. Przewodnik po ścieżce można uzyskać w Gminnej Bibliotece Publicznej w Słupnicach.

Fotografie ze zbiorów Jerzego Krzewickiego oraz Ralppha Brooksa

¹ Royal Canadian Air Force – Królewskie Kanadyjskie Siły Powietrzne.

² Samolot został zestrzelony w czasie misji bombardowania przemysłowych celów strategicznych w rejonie Hamburga. Z katastrofy ocalała cała załoga z wyjątkiem tylnego strzelca, którego spadochron zaplątał się w stery maszyny.

³ Jeniecki obóz przejściowy.

⁴ R. Brooks, *The Life and Times of Hubert Brooks M.C. C.D. A Canadian Hiro*, Chapter 2: Capture/ Prisoner of War/Escape Attempts, Section 2.10: The 3 Escape attempts of Hubert Brooks put in perspective, <http://www.hubertbrooks.com>, luty 2016 r.

⁵ Sierżant John Duncan, żołnierz 51 Gordon Highland Division. Do niemieckiej niewoli dostał się w czasie walk w rejonie Dunkierki w czerwcu 1940 r. Był jeńcem Stalagu VIII B w Lamsdorfie.

⁶ Por. Władysław Szczypka „Lech” zginął tragicznie w czasie ćwiczeń swojego oddziału na polanie Stawieniec, jesienią 1943 r.

⁷ J. Sobieski, „*Obrazy z historii Wilka i Mszycy, Oddziału Partyzantów Armii Krajowej pod dowództwem porucznika Jana Stachury „Adama” w czasie walk w Gorcach przeciwko nazistom niemieckim*” 1939-1945”, Bruksela 1980, s. 45.

⁸ R. Brooks, *The Life and Times of Hubert Brooks M.C. C.D. A Canadian Hiro*, Chapter 3: Escape to danger – evasion – Fighting with the Polish Underground Army – The AK, Section 3.2: Probationary Period with the Armia Krajowa “Terenowka” (Reserve Unit) and transfer to Oddział

Partyzantki „Wilk”, <http://www.hubertbrooks.com>, luty 2016 r.

⁹ Szerzej problematykę powstawania pierwszego oddziału partyzanckiego w Gorcach opisał w swojej pracy Michał Maciaszek, *Od Orła do Zawiszy. Gorce 1943 r.*, Nowy Targ 2010.

¹⁰ R. Brooks, *The Life... , op. cit.*

¹¹ Wg Wspomnień Juliana Tomeckiego „Brzozy” John Duncan jako doświadczony w boju żołnierz, zwracał uwagę partyzantom na każdy szczegół, który mógł ich dekonspirować na polu walki, szczególnie na elementy niepotrzebne albo źle umiejscowione na umundurowaniu, przez które można było stać się łatwym celem. Przez niektórych partyzantów został zapamiętany jako solidny żołnierz. Często na piesze wędrówki po Beskidach wyruszał ze swoim psem o imieniu „Dux” (z j. ang. „Księżę”).

¹² Relacja ustna J. Tomeckiego „Brzozy”, nagranie ze zbiorów autora., sierpień 2013r.

¹³ Tadeusz L. Czech „Wicek” – Wspomnienia, mps., „Tym groźniejszy, że zdecydowany zginąć”, *Stary Sącz* 1989r. s. 104

¹⁴ Zbigniew Faix-Dąbrowski „Bohun”, *Alianccy lotnicy polskimi partyzantami*, Kraków 1989, s. 93

¹⁵ R. Brooks, *The Life and Times of Hubert Brooks M.C. C.D. A Canadian Hiro*, Chapter 3: Escape to danger – evasion – Fighting with the Polish Underground Army – The AK, Section 3.11: Liberated by the Sussians early 1945 – long road home, <http://www.hubertbrooks.com>, lipiec 2014r.



NOWO OTWARTY GABINET PROKTOLOGICZNY

Limanowa ul. Piłsudskiego nr 29
Rejestracja telefoniczna 733 634 608

Diagnostyka i leczenie chorób
odbytu, odbytnicy i jelita grubego.
Anoskopia, rektoskopia.
Nieoperacyjne i operacyjne
leczenie guzków
krwawniczych /hemoroidów/.
Leczenie szczelin i przetok odbytu
oraz innych zmian okolicy odbytu.



**BANK SPÓŁDZIELCZY
W LIMANOWEJ**

KREDYT DLA MNIE



ZREALIZUJ SWOJE PLANY I MARZENIA

Kredyt dla mnie - proste rozwiązanie na dowolny cel:

- niska prowizja
- atrakcyjne oprocentowanie
- czytelne zasady
- elastycznie ustalany dzień spłaty
- okres kredytowania aż do 36 miesięcy
- kwota kredytu nawet do 30 000 zł



RRSO dla reprezentatywnego przykładu wyliczonego na dzień 27.04.2016r. dla klienta posiadającego rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy w Banku, wynosi 12,69% przy następujących założeniach: całkowita kwota kredytu 3 934 zł spłacana w 19 miesięcznych ratach kapitalowo-odsetkowych: 18 rat po 223,86 zł i jedna rata 224,14 zł. Stopa oprocentowania kredytu stała w wysokości 9,50 % w stosunku rocznym. Całkowita kwota do zapłaty przez konsumenta wynosi 4 332,30 zł, w tym: całkowita kwota kredytu – 3 934 zł, całkowity koszt kredytu – 398,30 zł, na który składają się: odsetki – 319,62 zł, prowizja za udzielenie kredytu – 78,68 zł oraz opłata przygotowawcza – 0 zł.

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie informacyjny i nie stanowi oferty w rozumieniu ustawy z dnia 23 kwietnia 1964 r. Kodeks Cywilny.

zobacz więcej na www.bs.limanowa.pl





119⁰⁰
zł/m³

STYROPIAN TERMO ORGANIKA DALMATYŃCZYK

fasada, gr. 10, 12, 15 mm



cena od **93⁰⁰**
25 kg

TYNKI CERESIT 25 kg



10⁹⁹
m²

PŁYTA OSB KRONOPOL 12 MM

12x1250x2500



ZS - 12⁹⁹
25 kg

ZU - 17⁹⁹
25 kg

ZAPRAWA KLEJĄCA 25kg

[ZS] do styropianu
[ZU] do styropianu i zatapiania siatki



399⁰⁰
kpl.

DRZWI METALOWE HÖRMANN

900 x 2000
(ościeżnica, klamka, uszczelka)



399⁰⁰
szt.

DRABINA KRAUSE 3x9



369⁰⁰
szt.

HUŚTAWKA LUNA



119⁰⁰
szt.

FOTEL OGRODOWY GALAXY